

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Tadeusz Komendant

Lustro i kamień

Prywatny sylogizm

Wstęp
Ryszard Przybylski

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Ze strychu

Często się u nas zdarza, że tekst, który wyrósł z gleby świadomości narodowej, leży gdzieś zapomniany na strychu jakiegoś skazanego na zagładę domu. Znajdujemy go niekiedy zupełnie przypadkowo. Juliusz Słowacki zapewniał, że rękopis *Króla Ducha* odkrył w podolskim domu rodzinnym Józafata Dumanowskiego, który, „tknięty już wyraźną chorobą umysłu”, wyśpiewał przed śmiercią swój egzystencjalny smutek, niewątpliwie „świadcstwo żywota duchowego u nas”, w dziwacznym rapsodzie rycerskim. Usprawiedliwiał się w ten sposób ze swego poetyckiego szaleństwa, przewidując, że jego poemat wyda się wielu czytelnikom dziełem obłądnym, w czym się zresztą nie pomylił.

Ale niekiedy w zakurzonych kufrach spoczywają autentyczne pisma, stanowiące niekłamane rewelacje. I otóż na strychu domu położonego na jego rodzinnym polsko-białoruskim pograniczu, Tadeusz Komendant znalazł taki niezwykły tekst, który najwyraźniej wydał mu się również „świadcstwem żywota duchowego u nas”. Jego autorem był chłopak z kresowej prowincji, który w trakcie pisania swych utworów, bo bez wątpienia są to utwory, miał mniej więcej tyle lat, ile miał Dam Mickiewicz, kiedy, całkiem niedaleko stąd, również na głębokiej prowincji, zasiadł do IV części *Dziadów*.

Tekst znaleziony przez Komendanta składa się z dwóch części. Pierwszą można by nazwać za Konwickim *Kroniką wypadków miłosnych*, jest to bowiem pamiętnik o dziejach młodzieńczych zapałów erotycznych, stanowiący w gruncie rzeczy opowieść o tęsknocie do „miłości duchowej”, która przez typowo prowincjonalne okoliczności jest bezustannie spychana w trywialność. Chłopak nie był przeciętniakiem. Wyczulony na honor i elegancję gestu; kierował się kodeksem, który bynajmniej nie był pozbawiony etosu rycerskiego. Dlatego jego „cierpienia miłosne” wzbudzają zainteresowanie i szacunek. To był mężczyzna a nie wsiowy patałach. Jednakże najbardziej zdumiewającą cechą tego pamiętnika jest fakt, że chociaż obejmuje on lata 1938-1945 o dziejach wstrząsających wówczas naszą ojczyznę właściwie w nim głucho. Ludzie opuszczali wówczas ten świat w niebywałych cierpieniach, waliły się miasta, płonęły wsie, przez kraj przewalały się milionowe armie odwiecznych wrogów, zagrożony był biologiczny byt narodu, a ten młodzieniec zajmował się z pasją jedynie własnym rozżaleniem na dziewczynę, która utyliła jego uczucia w prowincjonalnej prozie życia. Przed oczyma naszej wyobraźni jawi się jak najbardziej rzeczywisty „parobek”, który

naprawdę zrealizował wielkie marzenie Witolda Gombrowicza. W najgłębszych pokładach swej świadomości był on całkowicie wolny od Polski i jej nużących i anachronicznych problemów. Na polskiej prowincji żył sobie nietknięty prowincjonalizmem stołecznych intelektualistów. Był Ponadnarodowym Człowiekiem nieśmiertelnego Gombra.

Zaciekawia nas pod jednym jeszcze względem. Od tych egzystencjalnych mdłości postanowił bowiem uciec w sztukę. Udręczony własną klęską, postanowił zastosować terapię pisania, chociaż o Zygmuncie Freudzie zapewne nigdy nie słyszał. Ponieważ nie mógł „zapylić” sprawczyni swego bólu, co niewątpliwie złagodziłoby jego rozpacz, przeniósł pióro i papier ponad konkretną egzystencję w nadziei, że w końcu dzięki pisaniu dostanie się do sprostowanej przez życie i miłość idealnej strefy duchowej. To też w końcu zabrał się do „najnowocześniejszej sztuki świata w trzech aktach” pt. *Rok 1937-1945*, która stanowi właśnie drugą część znalezionej przez Tadeusza Komendanta tekstu.

Z pamiętnika wynika, że chłopak nie był licealistą i nie liczył, jak Józefat Dumanowski, „najnowszej francuskiej literatury”, ale mimo to stworzył dzieło, które w moim przekonaniu może konkurować z *Królem Ubu* Alfreda Jarry. Zadanie miał trudniejsze, nie pisał bowiem racjonalistycznej groteski o tyranii tępoty, lecz absurdałne misterium o losach Polski, od której, podobnie jak sam Witold Gombrowicz, w żaden sposób i mimo wszystko nie potrafił uciec. Trudno pojąć czy rzeczywiście był szmirusem na niebywałą miarę, czy też tylko posługiwał się szmirą, kiedy upychał doświadczenie ostatniej wojny w formę romantycznego dramatu, przekształconego w komiczny absurd. Jest to zresztą fascynujący dokument świadomości Polaka żyjącego w przejściowym okresie między końcem okupacji hitlerowskiej a tryumfem stalinowskiego terroru, kiedy wielu rodaków naprawdę nie wiedziało ku czemu zmierza ich świat i ich ojczyzna. Chłopaka niewiele obchodzi Bierut. Polską rządzi jeszcze duch Wielkiego Marszałka. Nie ma Armii Czerwonej. Natomiast nadal są Aniołowie wysłani przez Opatrzność. Rozdarty między ironią i patosem, chłopak kompromituje, trudno pojąć czy świadomie, czy bezwiednie, narodowe formy myślenia i wrażliwości z przebiegłością, na którą nie zdobył się nawet sam wielki Gombrowicz. Rewolucja śmiechu przeciw terrorowi formy. I tak do końca nie wiadomo, czy uprawiał grafomanię czy też zrozumiał, że dzieje naszej ojczyzny sami Polacy zdołali już przekształcić w patriotyczno-religijny kicz.

Korzenie kultury rosną jednak między tekstami. Każda tradycja potrzebuje co najmniej dwóch „chłopaków z tej samej wsi”, z tej samej okolicy, z tej samej wspólnoty. To też tym razem mamy najpierw tekst napisany spontanicznie, jakby we śnie, przez „dzikusa” z prowincji. Następnie zaś czytamy tekst napisany przez intelektualistę, który opuścił strony rodzinne, wykształcił się na stołecznych uniwersytetach, pochłonął mądre księgi stworzone przez luminary europejskiej kultury po to właśnie, aby odkryć sens doświadczenia zapisanego przez swojego krajana.

Tekst napisany przez Tadeusza Komendanta jest tedy hermeneutyką prac literackich „prostaczka” z kresów. Ale trudno mu się dziwić, że uległ tej pokusie, skoro akcja przetacza się z werandy państwa Mickiewiczów do domu państwa Sienkiewiczów; skoro cały pamiętnik jest ponowieniem narodowego typu inicjacji polskiego młodzieńca, opisanej w IV części *Dziadów*; skoro traktuje on o „mowie ciała” rozbudzonego przez erotykę, które zachowuje się zgodnie z regułami zawartymi w odwiecznym kodeksie polskiej wsi. To też Tadeusz Komendant postanowił oglądać tekst Witolda Sutuły w zwierciadle wiedzy uczzonej i przy okazji zbadać mechanizm odbicia. Padają więc wielkie nazwiska, od św. Pawła do Michela Foucaulta.

W niezwykłym uniesieniu humanistycznego rozumu, cytując tekst prowincjonalnego Gustawa, który nie zechciał zostać prowincjonalnym Konradem, chociaż w roku 1946 okazji ku temu nie brakowało, Komendant z radością dokonuje odkrycia, że formy myślenia „prostaczka”, narzucone mu przez normy obowiązujące w prowincjonalnej wspólnoty, pokrywają się z modelowym zachowaniem bohaterów narodowych arcydzieł. Wiedza o kulturze potwierdza

w ten sposób przedziwną, niemal nadprzyrodzoną współzależność między chłopakiem z zapadłej wioski a mitycznym protagonistą wspólnoty. To, co zostało przez mit wyniesione na niebo, korzeniami sięga ziemi wioskowej, zapyziałej prowincji. Hermeneuta odkrywa tedy, że między dzisiejszym życiem a prawdą romantycznego mitu nie ma rozziwu; że historia każdego współczesnego człowieka jest Literaturą. Warto więc było Tadeuszowi Komendantowi potraktować teksty prowincjusza z całą powagą, podszytą, co prawda, szczególnego rodzaju przewrotnością, ocierającą się o wyrafinowaną kpinę. Ale w końcu w naszym kręgu kulturowym mądrość rodzi się na prowincji, gdzie nie zatracono jeszcze pradawnej wrażliwości. Tyle, że ginie ona czasami w anonimowych zapiskach zamkniętych w kufrach wyrzucanych na strych.

Ryszard Przybylski

Mojemu Ojcu,
Henrykowi Berezie
i Andrzejowi

PAMIĘTNE DNI PRZESZŁOŚCI

Mieczysław Karasewicz to był mým stryjeczny bratem, był o wiele starszym ode mnie, zapraszał mnie wciąż do siebie.

Lubiałem daleką podróż i temu zgodziłem się na jego prośbę. Jechałem rowerem po szosie o której kiedyś wspominałem co prowadzi w świat szeroki. Mijały druty telegraficzne, mijały wierzby rosochate, mijały kilometry. Dwadzieścia pięć kilometrów drogi szosą i dwa boczną. Przyjemne wrażenie odczuwałem tą jazdą pierwszy raz jadąc rowerem w drogę tak daleką dla mnie. Co prawda, byłem tam kiedyś kilka razy z rodzicami kiedy jeszcze żył mój ojciec ale to było w dzieciństwie lat moich i nie jechałem rowerem lecz furą. Pamiętam te zabawy dzieciinne z Mietkiem. Pokazywał mi na strychu małe kotki potem oprowadzał mnie w około swojej zabudowy, która wyglądała stara. Byliśmy nad rzeczką co mnie bawiło bo u nas nie przepływa żadna rzeka. W tej samej rzece poiliśmy konie. Po tak stromej górze trzeba było jechać konną do rzeki i spowrotem. Takie dziwne wrażenia z lat dzieciennych pędziły mnie w tamte strony. Dziś Mietek był po wojsku a ja przed wojskiem. Byliśmy dorośli obaj.

Teraz przejeżdżam pod most kolejowy i skręcam drogą koło majątku Karolin. Stary pałac bieli się z daleka. Ściany jak widzę na zewnątrz są oberwane widocznie na wskutek starości. Duże drzewa i krzewy rozciągają się w koło pałacu, oprowadzone naokoło siatką drucianą też porwaną. Szeroki dziedziniec na którym leży tyle zawaliska narzędzi rolniczych, mury

powalone i niedopatrzone. Kiedyś ten dwór musiał pięknie wyglądać – dziś nie jest równy wiejskiej zagrodzie. Na lewo od majątku ku zachodowi stoi stara browarnia o której ludzie wciąż wspominają, kiedy jeździli do Grodna, to nigdy jej nie omieszkali. Po garcu piwa każdy musiał wypić dla rozgrzewki i już był nieprzytomny. Teraz ta browarnia stoi na pół rozwalona a wkóło jej rozciąga się lotnisko polskie. W Browarni mieści się strażówka. Jeszcze dalej na lewo leży wieś Karolin. Staropolska wieś o słomianych szczytach zabudowy. Ulica wąska kamienista i błotnista; choć ziemia wokół jest piaszczysta i nieurodzajna. Ludzie obecnych wiosek nie mają pastwisk i temu konie nawet wśród lata stoją w stajniach karmieni koniczyną której mają wielkie zasiewy i sieczką. O konie nie dbają tylko o ubiór. Więc temu wszystkie mleko masło i sery wywożą na rynek do Grodna, które jest o 5 kilometrów. W nędzy żyją, ale ładnie chodzą. Wóz jaki spotkasz na drodze to o gnojówkach i pęczek słomy. Kiedy jadą na targ to się widzi małego konia zaprzęzonego po rusku; mężczyzna jako furman klęczy w przodzie wozu a kobieta z tabołami pełnymi masła, serów i mleka siedzi siadem tureckim. Rzeczka Łososianka przepływa wzdłuż wsi Karolina, majątku Karolin, Tarusicz, Nowik i jakichś kolonji Łosośnej która służy na wypoczynek bogatym wśród wakacji. Na rzece stoi trzy młyny w odległości więcej jak jeden kilometr.

Kiedy zajechałem przed dom Karasewicza to całe rodzeństwo wybiegło na spotkanie. Potem po kolei wszyscy zaczęli wypytywać się co słychać w domu rodzinnym. I tak przeszedł cały dzień na wspólnych gadaniach. Wieczorem poszliśmy na wieś z p. Mietkiem. Zatrzymaliśmy się na werandzie p. Mickiewiczów. Mietek przedstawił mnie jako brata, gdzie zapoznałem jego kuzynki: Stefcie i Marysię. Musiałem grzecznie się obchodzić bo nas nazywają w tych stronach „muzykami”. Więc starałem się mówić po polsku zachowałem grzeczność w obec towarzystwa. Choć powiem, że nie długo trwała moja grzeczność bo obmacałem najpierw Stefcie a potem z kolei Marysię. Kiedyś Marysia była się wyraziła przed siostrą Mietka Stachą: że „mi byłoby dosyć Witka, innego by nie chciała”. Ale czy Witek spoglądał na takie Marysie? W myślach jego śniły się królowny.

Jedno zauważyłem grzeczność tych ludzi. Kto kolwiek by nie przechodził bez względu na porę, stary, młody, czy dzieciak każdy skłoni głową i powie: dobry wieczór! lub dzień dobry. Kiedy do domu się wchodzi to się mówi: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a kiedy odpowiedzą domownicy mówi: Dzień dobry!... Takie wychowanie ludzi bardzo mi się spodobało. Dlatego zabawy różne były bez bujek.

U nas tego nie było. Nikt nie pozdrowił swego przechodnia a na zabawie noże i sprężyny.

Na następny wieczór zagłębiliśmy się dalej w wieś. Tu zapoznałem znów dwie ładne dziewczynki które były koleżankami Irkę R i Werę H. W krótkiej rozmowie p. Irka zaczęła mocno na mnie najeżdżać tak że nie mogłem się wstrzymać i odpaliłem jej swymi słowami. – Ma się rozumieć po polsku – ale zatknęłem jej gębę. Wercia natomiast trzymała stronę moją, pomimo że były obie koleżankami.

Jak śmieszne było kiedy na następny dzień chwyciłem jedną z ich idących naprzeciw nam za pierś. To było tak chamskie z mej strony, że dziś się wstydzę wspominać.

Tyle śmiechu narobiły, że panny musiały uciekać. Zawsze im dokuczali że uschnie jedna pierś. To była Wera i się nie gniewała na mnie, czemu? Może że wiedziała iż wychodzę z muzyków i do tego jestem młody. Darowała mi wszystko, choć więcej tego nie uczyniłem, i spędziła ze mną kilka dni w rozmowie. Widziałem iż czuliśmy do siebie wzajemną sympatię lecz pod tym względem byłem nieśmiały. Ale chciałem ją widzieć jakaś siła pociągała mnie za nią choć nie mogłem jej dorównać bo byłem szczeniak.

Któregoś wieczoru wybraliśmy się do Irki gdzie mnie przedstawiono synem dyrektora jednej z kopalń. Śmiałem się i dziś się śmieję jak mnie Mietek z kolegą swym ubierali, a potem przedstawiali filozoficznie ojcu panny Marysi.

Kiedy wracałem do domu to z nowymi wrażeniami. Tu zaczęłem nakłaniać młodzież do inteligentnego zachowania, przez podaniem ręki każdego dnia i pozdrowienia. I choć z po-

nad najniższej słomianej strzechy wychodziłem jednak byłem lubiany i młodzież zaczęła brać przykład u mnie tak że w rok czasu przeistoczyła się do niepoznania.

Wróciłem spowrotem do Tarusicz by zbudować piwnicę Mietkowi.

W toku pracy z okazji święta pułkowego na Folszu 29 P L-u jako święta pułkowego, wręczenia sztandaru dla 29 PHL-u, cała ziemia grodzieńska została zaproszona na tą uroczystość. Poszliśmy i my. Ja, Mietek, Wacek – młodszy brat Mietka, i mnóstwo kolegów.

Folsz leżał o dwa kilometrów od Tarusicz a kilometr od Nowik. Leżał w lesie nieco na wzgórzu z lewej strony na wschód rozciągał się widnokrąg Grodna, na zachód las sosnowy. Gościniec wiodący do Grodna przechodził około bramy wjazdowej. Nigdy tam nie byłem więc chęć niezmierna rosła w mych piersiach zobaczenia jego. Kiedy już dzwon kapliczki dał znak swym głosem czas rozpoczęcia uroczystości przestąpiliśmy główną bramę i znaleźliśmy się w środku wojskowym. Duże domy to jest koszary wojskowe były dziś udekorowane flagami biało-czerwonymi. Panował ruch żołnierzy wśród tego Folszu. Jak pięknie wszystko wygląda, jaki tu porządek: trawniki, kwiaty różnych kolorów ścieżki równiutkie wysypane żwirem, drzewa, wszystko to ma odurzające wrażenie człowiekowi który nie widział w swym życiu. Następnie zbliżamy się do dużego stołu, gdzie odbywa się wspólny obiad podoficerów. Nieomieszkali zaprosić wojskowi oficerowie swych kolegów rezerwy do wspólnego stołu. Co na stole stało określić nie mogę, tylko przypominam sobie, że brakło widelców, więc jeden z księży odezwał się: Pan Bóg dał wcześniej palce niż widelec i chwycił palcami za kawał mięsa. Ten przypadek wzniosł dużo hałaśliwego śmiechu i zabawy za którym pošli wszyscy zebrani biorąc palcami. Najlepiej to mi się spodobał kwas wojskowy na obecną gorączkę.

Po obiedzie podoficerskim było kilka przemówień z gości dostojniejszych i wręczenia radja jednej ze szkół zagrzebanej ziemi grodzieńskiej; następnie wszystko ruszyło o godz. 12-tej na duży plac wspólnego obiadu. Tutaj szeregi długich stołów ciągnęły się wzdłuż placu. Stoły były ubrane wieńcami kwiatów i zieleni zasłane smakołykami nawskroś. Z grzecznością i uprzejmością zapraszali oficerowie ludzi cywilnych do stołów. Przytem chciano cywila ugościć to zupą żołnierską która już była przygotowana. Żołnierze zaczęli nalewać i roznosić do stołów. Lecz co za dziwo widzę wśród wojskowych?! Oficerowie i podoficerowie zabierają z rąk żołnierzom hohle i menaszki i sami nalewają i roznoszą. A szeregowym żołnierzom każą siadać za stoły i gościć przybyszów. Powiadają – może tam twoja matka jest, siostra, brat czy ojciec, idź do nich. Zachwyciłem się tym odnoszeniem. Potem znów idą kolejnie oficerowie, butelkami piwo, papierosy, czekolady, cukierki itd. częstując wszystkich na wzajem.

Naprzeciw tych mnóstwa stołów stoi jeden stół również długi – ale w jednym szeregu – gdzie siedzą większe dostojnicy j.n. starosta Sokolski, s. Grodzieński, woj. Białostocki, Naj. pol. grodzieńska, pułkownicy i wiele innych mi nieznanych gości z wyższej sfery.

Teraz z podniesieniem kieliszka wznoszą się wiwaty na cześć Ojczyzny, pułku, pułkowników, wyższych oficerów, wojewody, starostów itd. Zauważyłem jedno co mi się nie spodobało: Czemu ta wyższa sfera w dniu tak uroczystym oddaliła się ze swym stołem od innych? Czemu my piliśmy piwo a oni wino? My butelkami a oni kieliszkami? Im stać a prostocie nie? Czemu nie wznoszono wiwatów na cześć żołnierza a tylko wojewody. Kiedy te wiwaty odbywały się wśród tłumu zauważyłem jak niektórzy oficerowie stali salutując nieruchomo, inni jak piłki byli podrzucani do góry przez swych żołnierzy. Widocznie było to temu ci oficerowie, których podrzucano na rękach w swej służbie wojskowej żołnierzom byli współbratni? a ci co stali nieruchomo to musieli być w swym czasie katami dla żołnierzy.

Po wspólnym obiedzie ruszyliśmy na plac zawodów konnych. Na głos trąbki wyjeżdżał jeździec na swym koniu i gonił po przeszkody poustawiane na placu. Specjalna komisja sądziła jeźdźca i nagradzała jego wedle przepisu jazdy i przepisu nadgrody. Jeden porócnik

otrzymał tą nagrodę, że spad z konia w czasie skoku przez rów i skręcił sobie kark co go zaraz pogotowie zabrało do szpitala. Jednak szkoda go było bo był w pięknym mundurze.

Na koniec zawodów orkiestra zagrała i trąbka sygnałowa dała znak, iż już się zakończyła uroczystość. Teraz tłum cywilów o dziwnym wyobrażeniu dnia, co można było widzieć na każdej twarzy zaczął opuszczać ten piękny dzisiejszy Folusz. Tylko niektórzy podoficerowie rezerwy zatrzymali się na zabawę która już nie należała do toku uroczystości.

Po powrocie dużo każdy z nas miał do opowiadania. Nawet przy pracy majaczył się dzień uroczystości.

Znów któregoś dnia odwiedzamy i zwiedzamy Grodno, które mi było mało znane. Jak nap. zwiedziliśmy w jednym z dni wystawę higieniczną, która mieściła się na ul. Mostowej, Bank Polski kilka kin itd.

Teraz miasto Grodno stało mi się wyraźniejsze. Ale kiedyś przyszedł dzień, że go znienawidziłem i uciekałem nie oglądając się poza siebie. Straszne były chwile miasta Grodna. Przypominam sobie kiedy mnie ze siostrą Gestapo niemieckie chwyciło z wódką na ul. Orzeszkowej i pędzono nas na gestapo. Nie wiem co by się stało gdyby nie moja odwaga, która pozwoliła mi wybrnąć z rąk szóbrawców?!

Przeszło wszystko, bóta niemiecka już się nie powróci... Grodno jest wraz z Tarusiczami poza granicą.

Jesień 1938 roku przypadła nienajzgorzszą. Siedziałem w sadzie dnie i nocie pilnując owoców przed rabusiami. Dniem czytałem książki, które otrzymywałem od naszego kierownika szkoły B. Domańskiego, a nocą przybyłym chłopakom opowiadałem różne baśnie, anegdotki i powieści co ich więcej mnie do siebie ściągnęło. Zaczęli przychodzić każdą noc na pogawętki co mnie uprzejmowało czas. W pewno niedzielę rozgadałem się z jedną młodą mężatką, która mnie w dwa tygodnie pociągnęła za sobą tak że musiałem ją odwiedzać codziennie. Wprawdzie była nie brzydką błądynką umiała ładnie tańczyć to mnie najwięcej pociągało. I na zabawach tylko z ją tańczyłem. Wprawdzie nie grzeszyłem z ją bo oprócz pocałunku nic między nami nie istniało. Ten dziwny pociąg trwał parę miesięcy kończąc się rozstaniem. Po rekolekcjach jakie odbywały się w naszej parafii dama moja się zmieniła i zapomniała o bujaniu co mi poszło na korzyść bo niekiedy wiele traciłem grosza na marne przez ją. Dała mi spokój duszy, który trwał około dwóch lat.

Zacznę od książek które otrzymywałem od p. D. w Suchodolinie. Miał on żonę również nauczycielkę, która na pierszy rzut oka spodobała mi się ale czy mogłem myśleć o jakiejś miłości? Tylko myślałem sobie na krótką chwilę ta by mi się przydała, pomimo że jest czyjąś żoną. Jednak te myśli odpędzałem od siebie a w odwiedzinach tylko byłem grzeczny. Ale moja grzeczność wzrastała do niej każdy dzień czego i sam nie zauważyłem. Jedno, że byłem obojętny i fruwałem sobie jak motyl z kwiatka na kwiatek, tak ja bawiłem się między innymi kobietami wśród różnych wiosek. W okolicy naszej spodobałem co do zabaw jedno z większych wsi, Pokośno. Tu młodzież była zorganizowaną przez Akcję Katolicką Szczelcy i Młoda Wieś. Bardzo ładnie się bawiono, mało kiedy dochodziło do jakiś bójek bo stali ludzie na czele o wyższym poziomie. Byłem tu kilka krotnie, zapoznałem parę dziewcząt, które dziś są zamężne.

Byłem w Małowistej na zabawie gdzie dostałem pannę jak dynię; a kolega Kazik „małnu” jak przewano. Śmiech brał kiedy opuszczaliśmy wieś. W Zwierzyńcu Wielkim też byliśmy na zabawie gdzie wspólnie mieliśmy z Kazikiem dwie możliwe koleżanki. Jedną to Kazik bujał że ją weźnie, a ja to nie chciałem tego bujania, bo to było mi nie do twarzy. Zapomnieliśmy wreszcie jak ja tak samo i on. Wreszcie znalazłem a raczej ujrzałem jedną z Miedzianowa niejaką Helę, rosłą, podstawną, czarną nieco, tylko z małym fałszem była panienka a mianowicie szerokie plecy miała w tyłku. Ale to nic nie przeszkadzało i jednego razu z Jan-

kiem zrobiliśmy na nią zasadzkę. W Dąbrowie po sumie wyjechaliśmy na szosę i tu czatowaliśmy kiedy będzie wracała do domu. Jedne było zagatko, czy ona będzie wracała samą w towarzystwie? i czy w towarzystwie damskim czy męskim? Jeśli w damskim to nie będzie nam sprawiało tródnosci się zbliżyć do tej „czarnej”? A jak w męskim to nogi na pedały i szosą do domu. Niedługo czekaliśmy zdaleka poznaliśmy jej sylwetkę. Teraz chodzi o to jak ją zatrzymać? Aż mija nas a my stoimy. Jedziemy dopędzami złazimy z rowerów i rozmawiamy ze sobą o jednym koloniście który by tu do jego dojechać. W miarę słów naszej rozmowy przeszczeń między nami się skracała i wtedy to zarzuciliśmy ją pytaniem o drogę. Nie bardzo chciała wskazać nam drogę, może wiedziała, że nam nie chodzi o drogę tylko ją samą. I temu to zapraszała nas ze sobą jakoby ten przejazd jest dalej. I tak w tej rozmowie zaszedliśmy do jej domu bez wskazanej drogi. Wprawdzie nas do domu nie zapraszała bo była to chałupa stara i waluca się. Więc zapewne się wstydziła. Ja tu większą rolę odgrywałem, byłem więcej wymowniejszy niżli Janek, którego ludzie piersi raz widzący nie rozpoznawali jego mowy. Na równi jak ja i on chcieliśmy ją osiąść i temu często jako kole-dzy gonili za nią z myślą każdy sobie. Kiedy znalazła się ona w Reszowcach u siostry to też tam obaj popędziliśmy, ale on odjechał a ja zostałem i ją jutro odwiedziłem. Była zadowolona z mojej wizyty, ale była na pierwszy raz dziką. Nie mogłem się dotknąć. Ale kiedy znalazły się ręce pod jej ramionami przycisnęła je silnie do piersi, ... no i wtedy była okazja, bo byliśmy sami. Okazja nie czego innego jak pocałunku. A się ładnie i namiętnie całowała co jej rozpałało nawet ciało.

Od tej chwili więcej jej nie spotkałem, w niedługim czasie wyszła zamaż.

(luka w rękopisie)

Nazajutrz pytał się B. o moim powodzeniu mówiąc, że „te dziecko lubi owoc drzewa zakazanego”. Tu nie odpowiedziałem nic, jakby nic nie wiedząc i nie znając. Od tego czasu odwiedzałem wieczorami dość często, prawie każdy wieczór. Jak nie byłem wieczór lub dwu, to już jej rodzice robili mi wymówkę, czemu nie przyszedłem. Więc spełniałem ich życzenia i jej również, bo się żaliła, odwiedzałem często. Każdym razem siedziałem do świtu i to nie tylko pod domem, ale i w domu. Siadywałem z nią w łóżku i w objęciach spędzaliśmy całe noce. Brat Witek również chodził na rantki i wracał nad świtem, czasem zastając mnie. Ale nigdy nic nie powiedział, ani jej rodzice. Czasem okrywałem się wstydem myśląc, że następnym razem zrobią mi wymówkę, za takie długie siedzenie. Ale nigdy tego nie było, więc więcej do tego życia się przyzwyczaiłem, stałem się bezwstydnym. Miłość fizyczna przeistoczała się w coraz to inne formy. Jednak nie byłem zadowolony, bo duchowo jej nie kochałem, a ceniłem tylko miłość serca i duszy.

Odchodziłem z sercem pustym. Więcej rodzice mi się podobali choć z zachowania, niżli ich urocza córka. Jej miłość do mnie natomiast nie miała granic, wzbijała się na najwyższe szczyty gór. A ja śmiałem się duchowo, to robiłem wyrzuty sumienia poco się śmieję i wciągam się w grę miłości.

W pewną niedzielę mieli być goście u mych gospodarzy na których się spodziewano od kilku dni. Ja czując się obcym człowiekiem, poszedłem do P. Marysi, by więcej być w samotności, niżli we wrzawie ludzi mi obcych. Myślałem że tam znajdę miejsce dobrego spocznienia. Była w domu tym razem, bo rodzice byli w kościele. Ale po obiedzie zjawiają się i tu goście z Suchowoli. Starszy mężczyzna w wieku 72 lat z córką 16-letnią. Znowu czuję się skępowany tym manewrem życia. Nie uciekałem szybko, zabawiłem się trochę w ich towarzystwie dopóki nie zaczęło się przygotowanie do stołu. Wczas wymknąłem się bez przeproszenia woląc iść do swych darzycieli.

Mijałem sadek jak Zosia z Witkiem dopędzili mnie i przemocą zabrali do domu. Dziś czuję jak te chwile były drogie...

Naprawdę! musiała mnie kochać, kiedy zostawiła gości i biegła za mną by wrucić! Wiodocznie chciała i pragnęła bym był w jej towarzystwie. Nie wiedziałem co robić? Widząc jej gorące przywiązanie do mnie chciałem wynadgrodzić swą osobą, spełniałem jej życzenia i rodziny. Pomimo skrepowania zdobywałem się na ostatnie siły w rozmowie towarzystwa gościnnego. Nad wieczór poszliśmy na zabawę. Ja, Zosia, Witek, kuzyn z kuzynką. Szedłem ale zadowolenia nie miałem bo to co było nie było moje serce odpychało siłą prądu. Na zabawie, która odbywała się w budynku szkolnym, jej nie widziałem, bo nie chciałem. Kiedy wpadła mi w kółeczku, to pragnąłem czempredzej zmienić. Wydawało się mi że nie umiała tańczyć. Potem spotkałem ją przed szkołą w towarzystwie jej kuzynów powracających do domu. Prosiła bym szedł z nią, ale odmówiłem nieznacznie. Sam zaś spoglądałem na jedną „cygankę” jak ją nazywałem. Była ją Jadzia B. Jednak i zata nie goniłem, a chciałem się zabawować i być w towarzystwie. Owa zabawa nie przyniosła mi żadnej pamięci ani dostatecznego zadowolenia. Nie zapomniałem w dalszym życiu odwiedzać Zosię. Pewnego razu kiedy byliśmy sam na sam; mówiła mi:

„Witek! Jak ja się do ciebie przyzwyczaiłam jako do najdroższej mi osoby” – I kochasz mnie? – spytałem – Szalenie, o Tobie tylko wciąż myślę. Nie wyciągnąłem z niej tych słów, ale same płynęły. Z otwartego serca. – I chcesz być moją? – spytałem. Od dziś i to na zawsze chcę należeć do Ciebie!

Nie wiedziałem co mam robić? Co odpowiadać. Za jej słowa przytuliłem do siebie, mówiąc – będziesz, będziesz... Takie to było dziecinne, a coś miało w sobie tak silnego że moje martwe serce otworzyło jej małą komórkę.

Z Bolkiem jechałem dziś do Szczuk. Jechaliśmy obaj rowerami. Bolek miał sprawę do Julkowego szwagra. Szczuki jest to wieś niedługa, a na pierwszy rzut oka jest ładna. Tu zapoznałem siostrę Stachy Julkowej żony, Helę. I ta mi spodobała się na pierwsze wejrzenie. A była dość uprzejma i grzeczna, cały czas mnie bawiła w domu, a potem w towarzystwie zabawy była przy mnie. Wyznałem jej że mnie imponuje jak również i ona się wyraziła, że jej bardzo się podobam. Może to było nieprawdziwe, ale kiedy wracałem z nią do domu prosiłem o jeden całus; na co odpowiedziała: zobaczymy. W drodze nie chciałem tego wybuchu, wołałem zachować się delikatnie. W domu nie zapomniałem rozmowy słów, chcąc otrzymać zadatek na przyszłość. Zgodziła się!

Cały wieczór do świtu spędziliśmy w miłości duchowej. Tu nie wiem czemu, martwe serce ożyło i zaczęło kochać prawdziwie tą zapoznaną dziś osobę. Siedzieliśmy jak dwa duchy związane miłością. Ręce nasze były przy wzajemnych uściskach. Rano kiedy odjeżdżaliśmy odprowadziła nas za wieś i to było nasze pożegnanie. Odjechałem z myślą o niej, z jej obrazem i tęsknotą za nią. Na miejscu znów szedłem do Zosi ale tylko by zagłuszyć myśli o Heli. Stacha oznajmiła mi że Hela przybywa w sobotę do nas i będzie przez niedzielę. Pojechałem do domu ubrałem się nieco, nazrywałem pęk białych i malinowych piwonji, wioząc wszystko do Pokosnej z myślą dla Heli. Helę zastałem, już była! O jak się uradowała, kiedy zaprezentowałem jej pęk kwiatów gorących dzięków nie było granic. A i Stacha również była zadowolona i chciała by Hela należała do mnie. Wieczorem siedzieliśmy krótko. Nazajutrz zjedli śniadanie jak znów przyjechał jeden mazur z synem, który miał jechać do Szczuk. Przedstawił Heli swojego syna, ale ta się oburzyła i nieznacznie wyszła z domu. Wyszedłem za nią, prosząc do mieszkania. – ale Hela wzięła mię pod rękę i poprowadziła na przód. Spacerowaliśmy jakąś chwilkę, aż Stacha zawołała nas do domu, mówiąc że tak nie ładnie. Weszliśmy razem trochę wypiliśmy, mazur wziął Stachę i Helę na furmankę i pojechali do Szczuk. Wedle umowy i my z B. również pojechaliśmy rowerami na zabawę. Z jakim zadowoleniem Hela wjeżdżała w swoją wieś rodzinną, trzymając kwiaty w ręku. A ile potem dała mi odczuć swej sympatji i podziękowania do mnie. I ta wyznała że się zakochała i żyć bezemnie nie będzie, chce od dziś należeć do mnie. Byłem szczęśliwy i snułem plany zerwania z Zosią, która mi w żaden sposób nie odpowiadała. Znów byłem z Helą na zabawie i w jej towarzy-

stwie spędziłem cały wieczór reprezentowany przez cały czas jej i jej rodzeństwo. Gdy się żegnałem, większa tęsknota pociągnęła mnie za nią, ona była taka zgrabna, miła, a jakie ruchy sprytne okazywały jej zwinność i zdolność. Helu! Helu! o Tobie z myślą wciąż jestem, posłałem kilka listów ona mi na wstępie wpisała się do pamiętnika. Halino! Halino!

W rozmowie z rodziną Radziewiczów domówiłem się skończyć im chlew murowany. Dziś niedziela, a w poniedziałek mam rozpoczynać pracę. Jeszcze w niedzielę Bolek namawia pojechać do Szczuk. Ja, Bolek, Witek R. wybieramy się od Radziewiczów do Szczuk, a Radziewiczowa matka Zosi odprowadziła mnie na bok i powiada: „Po co dziś gdzie jechać? Czy nie lepiej jest tutaj? Zostań! Nie jedź!!!” Wyczułem że wielka zazdrość biła z jej oczu, chciała mnie przytrzymać dla swojej córki Zosi. Odpowiedziałem: – muszę jechać bo kolega pragnie – długo nie będziemy. Jednak jej zadowolenie widziałem nadal, wymawiała moje zamiary, a nie chciała mnie puścić. W rzeczy samej patrząc na nie obie żał mi się zrobiło, bo przypomniałem te chwile spędzone w towarzystwie Zosi; jak ona świeżo dojrzałe truskawki zrywała na talerz i wnosząc oknem podawała mnie, zapraszając do jedzenia, a na drogę do domu również dawała. Z takimi myślami nie można się pogodzić i temu nie wiedziałem co robić wspomnienia o Heli i tęsknota przewyciężyły; i pojechałem. Tym razem zabawa zeszała nam bardzo przykro nam wszystkim, a to z powodu pianego towarzystwa, które co chwila zrywało się do bójki. W tak zastrzytnej walce nie chcieliśmy brać udziału i temu spokojnie przesiedzieliśmy w drugim pokoju. Bolek był niezadowolony bo jego dziewczyna tym razem mało zaglądała do niego bo była w szalonej wrzawie. Hela natomiast po każdym tańcu przychodziła i siadała przy mnie. Witek był samotny.

W drodze powrotnej skręciliśmy do Morgów, jednej przydrożnej wsi. Moi towarzysze mieli tam znajomych i kuzynów, więc chcieli w drodze do domu rozgościć się. Wypiliśmy około litra wódki; posiedzieliśmy chwilę w towarzystwie jakichś brunetek i wracaliśmy z powrotem. Witek właśnie tym razem wjechał na drut kolczasty, i tak nawet porządnie porwał spodnie. Jakoś zszyliśmy trochę i dalej do domu. W domu starał się je wnieść tak by nikt nie zauważył. Obawiał się lub się wstydził. Słyszałem jak Radziewicz miał mówić kiedy pojechaliliśmy do Szczuk: „Będzie praca szła, widać taki sam jak nasz”. A ich Witek co prawda lubiał się ciągać po wsiach każdego dnia. Słyszając takie porównanie mnie do jego rozebrałem się natychmiast, włożyłem codzienne ubranie i pomimo snu, który ciągnął mnie do poduszki, stałem do zacieklej pracy. Samo najprzód kopaliśmy rów pod fundament chlewa. W rzeczy samej ta robota do mnie nie należała, ale już w początku chciałem okazać że pracować umie. Czasem dochodzili robotnicy i wtedy robota szła całą parą. Zosia kiedykolwiek wychodziła z domu zawsze była uśmiechnięta i wciąż patrzyła na mnie. Zaś jej „mamusia” jak potem nazywałem, a to ze względu że jej dzieci Witek i Zosia nazywali „mamusia” to i ja czując się dzieckiem swej matki nazywałem mamusią. Ona zaś myślała co innego. Że ja pragnę być doprawdy jej synem przez związek małżeński z Zosią. Świadczyło to zachowanie całej rodziny. Samonajpierw okazało się z dobrym utrzymaniem codziennego życia. Wódka była codziennie rano, w obiad, a nawet i w wieczór. Gdy przyszła niedziela, litr na stole i w kieszeni flaszkę wódki, o którą nie prosiłem a zawsze mi dawano, a którą wypijałem w ich gronie, bo nie potrzebowałem szukać jakiegoś szczęścia miłości, gdy je na miejscu miałem. Bielizna była zawsze czysta najlepsza i łóżko elegancko zasłane, które stało w pokoju, należało do mnie. Witek z Antkiem spali w stodole, a mnie nie puszczano z domu. Patrzyłem jak Zosia często zmieniała pościelenie łóżka wybierając co najlepsze prześcieradła. Ręcznik wisiał osobno, z którym śpieszyła Zosia po moim umyciu i znów zabierała żeby nim więcej nikt się nie utarł. Przy stole byłem pierwszy i najwyższy stopień mi nadano! Nikt nie śmiał usiąść do stołu jak ja nie byłem gotów do wzięcia udziału przy stole. Wódka na stole stała do mojej dyspozycji... nikt nie śmiał nalać do kieliszków oprócz mnie. Wśród gości jakie odwiedzali w tym czasie, bez ich względów siadywała przy mnie i nieraz jedliśmy z jednego półmiska i piliśmy jednym kieliszkiem. Mamusia musiała zawsze stuknąć się zemną kieliszkiem i choć

jedną kropelkę wódki wlać do mego naczynia co oznaczało jej wielkim życzeniem do mnie. Zosia również dzieliła się kieliszkiem wódki nawzajem. Żyliśmy jak para złączona węzłem przedmałżeńskim. Wśród gości nie krepowali się wskazując na nas dwojga jak ładnie wyglądamy i że jesteśmy parą dobraną. Cóż miałem robić? Za ich dobre odnoszenie się, musiałem płacić dobrem i grzecznością. I znów nie mogłem pogodzić myśli względem Zosi i Heli. Miałem niby wybór, w którym bez zdecydowania swej woli. „Jedno dobre, a drugie jeszcze lepsze”. Pewnego razu przyszedł Bolek wieczorem gdy siedzieliśmy pod mieszkaniem. Siedział bardzo długo aż wszyscy poszli spać; tylko my we trójkę pozostali. Wyczułem jego myśli: Myślał: „Tobie jest do syta tej miłości, odstęp mi na dziś”. Pomyślałem że kiedyś mnie z ją zostawił, a teraz trzeba żebym ja mu odstąpił miejsca. I oczywiście poprosiłem by Zosia mi posłała łóżko! – Usłyszała – posłała i przyszła z powrotem a ja natomiast pożegnawszy ich dwoje poszedłem do spania. Prawdę mówiąc tak długo nie siedziała bo słyszałem jeszcze: kładła się do spania. Nic sobie z tego nie robiłem, byłem zimny wobec jej i zażdrości nie miałem ani odrobinę.

Nazajutrz chcąc się przekonać jak będzie wyglądała wobec mnie, zacząłem niby się gniewać tj. jest nie odzywałem się do niej ani patrzyłem w tą stronę, kiedy przechodziła koło mnie. Przeszło kilka dni i zrozumieć nie mogłem, bo i ona nie odzywała się. A Bolek pewnego razu zrobił mi wymówkę, że się gniewam na niego za Zosię. Wyznałem mu że jestem spokojny, po tym zajściu jedynie chciałem się przekonać czy ona doprawdy mnie kocha. A w rzeczy samej ani na Ciebie, ani na nią się nie gniewam. Po kilku dniach zaczęliśmy znów rozmawiać z Zosią i przesiadywać wieczorami. Ona szła słać łóżko mi ja zatrzymywałem i znów w miłosnych uściskach spędzaliśmy całe noce. I znów te same słowa Wituniu! jak ja do Ciebie się przyzwyczaiłam”. I znów „kocham i chcę być Twoją”. Ale czemu ja jej nie mogłem kochać duchowo? tylko zmysłowo??

Byłem w domu rodzinnym i w powrocie zastałem Zosię siedzącą z E. Halick. Usiadłem chwilę i wszedłem do mieszkania myśląc, że Zosia zaraz przyjdzie – ale nie przychodziła. Mamusia wstała z łóżka i poszła po nią, choć jej nic nie mówiłem. Wróciła za chwilę i powiada „kazałam iść do domu, ale Edzio koniecznie chce coś Zosi powiedzieć i mówili że zaraz będzie iść za mną.” Wiedziałem co on ma jej powiedzieć: to co każdy mężczyzna. Prawda, długo nie byli, weszli oboje do domu i Pan Edzio pożegnawszy odszedł a ja spędziłem znów z nią noc. Co o tych odwiedzinach myślałem, to opowiem w końcu mej tragedji. Zaznaczę, mi się nie podobało takie zachowanie, kiedy chciała należeć do mnie więc powinna zachować się należycie. Wyrzutów jeszcze sobie nie robiłem, bo nie kochałem duchowo. A miłość duchowa jest najsilniejszą i wszystko przewycięża sięgając w krainę niebios. Pomimo wszystkiego pozostaliśmy dalej przy dobrych i nierozzerwalnych stosunkach z Zosią. Czasem gdzie idzie Zosia to „mamusia” każe bym szedł z nią – Niby za stróża – czy co? Czy by nie zapominał o niej a raczej był na każdym kroku. Korzystałem często z tej samotnej okazji.

Przychodzą żniwa. Chcę odjechać do domu. Cała rodzina zaczęła mnie prosić bym został u nich na żniwach. Powiedziałem dobrze zostanę, a kto mnie przyjmnie na zimę? A Radziejewicz Ojciec jak go nazywałem jako starszego człowieka powiada: U nas możesz pozostać, miejsca będzie! Nie zdawałem się na tak zbyt długą prośbę i pozostałem. Żyto kosiliśmy kosami; Ja, Witek i Antek. Jak kosiłem to mogą sami ocenić, bo nigdy nie chcę się przedstawiać swą pracą. Kosilem a Zosia za mną podbierała. Żyto było słabe, więc kończyłem pokos kosić, a Zosia kończyła za mną podbierać i wtedy za każdym pokosem brała mnie pod rękę i prowadziła gdzie znów mieliśmy zaczynać. Nie odstępowała odemnie ani na krok. Zaś naprzeciw nas była kolonja Bolka i oni też kosili żyto i mogli widzieć na naszej stronie życie moje z Zosią, a przeważnie Stacha Julka żona przyglądała się naszym kochanym spacerom. To jej się nie podobało. Względem tego widoku byłem skrepowany ale czyż mogłem kopnąć

nogą Zosię, by mnie nie brała pod rękę? Byłem za delikatny w zachowaniu, a słowa prośby nie pomagały... wracała zawsze pod rękę.

Kiedy przyszła niedziela pojechałem do domu i nad wieczór z trzema kolegami przyjechałem do Bolka. Po wypiciu parę litrów wódki dwóch poszło na Leszczany, a my we trzech do Radziewiczów. Chciałem zapoznać Zosię z kolegami. Zaszliśmy i już znów wódka, która już i tak zdawało się będzie lała z powrotem. Kolega jednak długo się nie bawił i z B. poszedł do B. a z tamtąd założył konia i pojechał. Ja zaś zostałem z Zosią. Nazajutrz ten który poszedł był na Leszczany przyszedł do mnie w odwiedziny i zapoznał się z Zosią. Nie przewidywałem następstwa tych odwiedzin i ich skutków. Dziś powiem bodaj on był nie zaglądał i ja go nie znałem, lub bym nie znał rodziny Radziewiczów. Był nie długo. Odszedł na piechotę.

Znów jakieś święto czy niedziela. Jesteśmy rowerami w Suchowoli. Ja, Zosia, Witek i Bolek. Powracamy również w tym samym towarzystwie. Dojeżdżając do Chlewisk Dolnych spada na nas deszcz co musieliśmy uciekać do jednego z domów. Gdy trochę przestał ruszyliśmy dalej. Ale na Górnych znów nas napotkał deszcz tak silny że musieliśmy skryć się do domu. Siedzieliśmy długą chwilę nawet tańczyliśmy bo przyszedł muzykant, panienki i chłopaki. Jak nieznośnie patrzyłem na Zosię, która mi się tak brzydko wydawała, a tańczyć nie umiała, że nie mogłem patrzeć! Myślałem co ma mnie zrażać do niej? Przecież nie jestem jej kuzynem, bratem ani kim bliskim, bym miał się wstydzić w jej towarzystwie. Wiedziałem że była obca a jednak wstydziłem się być w jej towarzystwie nagląc do prędkiego odjazdu. I pomimo deszczu odjechaliśmy – na drodze dopiero spokojnie odetchnęłem czując już nieskrępowany. Jechaliśmy przez Czerwonkę i tu trochę zatrzymałem się w jednym miejscu a towarzystwo pojechało. Nareszcie jadąc dopędzam jednego z kolegów swojej wsi jest to Janek i Franek. Janek pojechał do Suchodoliny, a Franek bez słowa skręcił w stronę Pokosnej. Domyślałem się od razu że do Zosi. Czy przyjechaliśmy z nim razem nie pamiętam. Pamiętam jak byliśmy z nim razem przy stole. Wyczułem że Franek rywalizuje przeciw mnie, nic mi nie mówiąc... i temu zacząłem gniewać się, ale nic nie komu nie mówiąc. Znalazłem się w kuchni w towarzystwie rodziców Zosi i Franek dalej był z Zosią i resztą towarzystwa. Gdy mnie tak cenili Radziewicz, ze względu mego zachowania przypomniałem jej słowa i zachowanie wobec jednego chłopaka, o którym się wyraziła, że jest złodziejem; dziś powiedziałem im w skrytości „uważajcie, bo to też jest złodziej, choć może wam nic nie skradnie, ale niech nie psuje wam opinii wobec ludzi.” Przypuszczam że słowa moje nie zrobiły żadnej uwagi, bo jak potem słyszałem od tej „mamusi” że śni o Franku, i jest najśliczniejszy ze wszystkich jakie kiedy widziała. Widziałem iż gotowa nawet była oddać w tej chwili Zosię za Franka. W tym wypadku czułem się zkrępowany, bo zaczęto mnie strącać z wyżyn na jakie mnie sami wynieśli. Przychodzi niespodziewany dzień dożynek Radziewiczom. Rodzice są w Suchowoli, a my przy koście żyta. Nie brakło nam ludzi, którzy przyśli pomóc zrobić dożynek. Co chwila w tym dniu przechodziły deszcze jakgdyby naumyślnie. Jednak skończyliśmy kiedy „mamusia” powróciła z Suchowoli. Była nawet niezadowolona że tyle zboża zwaliliśmy w dzień deszczowy, ale musiała już iść do domu i robić przygotowanie dożynek. W mokrej koszuli od deszczu i rozgrzany usiadłem pod stodołę nie wiedząc że to będzie mi szkodliwe. Przy stole nie brakło wódki ani zakąski. Ale i tutaj jeszcze byłem pierwszy i reprezentowany pomimo gości. Byłem z Zosią bo tak trzeba było.

Po kilku dniach odczułem to przeziębienie i położyłem się do łóżka. Pielęgowali mnie wszyscy, najwięcej Zosia, wciąż i stale zaglądała do mnie. Prosiłem wódki by mi dano na rozgrzewkę to wzbraniała i kazała nie dawać. Przyszedł Bolek w odwiedziny do mnie a mi głowa pęka. Kazał by mi chustkę moczyli w spirytusie i przykładali. Zabrała się Zosia do dzieła i mokrą chustkę położyła mi na czole, trzymając wciąż rękę na mojej głowie. Ulżyło mi to i prosiłem o zmianę kompresu, zmieniała co chwilę, a rękę zawsze trzymała na czole. Z wieczora siedzieli wszyscy, a potem poszli stare do spania zostawiając nas we trójkę. Spiry-

tus pomógł. Zacząłem zasypiać. Wkręcili lampę a potem zgasili czy sama zgasła. Zosia wciąż była przy mnie, czułem jej rękę na swym czole. Wreszcie słyszę lekkie drganie Zosi, które co pewien czas się powtarza i silniejsze. Nareszcie opada całym ciężarem na mnie. W tej chwili gdyby był człowiek z żelaza toby może nic nie odczuwał, ale żyjący to musiał być poddenerwowany. Bolek gdyby wiedział, że już naprawdę kocham Zosię, toby tego nie robił, bo jak widziałem bardzo mnie lubiał; mawiając często: „Tylko ciebie mam jednego kolegę, z którym zawsze mogę wyruszyć”. Sympatię do siebie czuliśmy zawsze. A że mówiłem, że Zosi nie kocham, to nic dziwnego, że i jemu zachciało się ją zabawić. Nareszcie żegnają i odchodzi, a ona zostaje przy mnie. Ja niby się budzę, jest mi od chwili lepiej, biorę ją do siebie na łóżko. I jeszcze choć w chorobie chwile kochania i wreszcie rozstania nocne.

Czy nie prowadziłem tu życia brutalnego? Sam się wstydzę. Nazajutrz odjeżdżam znów z B. do Suchowoli do doktora bo mi było zawsze słabo. Przygadałem mu wczorajsze zajście do którego się przyznał. Pomimo uwagi szacunku ze strony R. w tym dniu nikt mnie się nie zapytał czy mam pieniądze na doktora i lekarstwo... Miałem trochę pieniędzy których wystarczyło wydałem 1200 zł. ze swego kieszenia. Jak tu znów pogodzić tak dobre odnoszenie się do mnie i chęć wprowadzenia mnie do ich rodziny, z tą chwilą kiedy odjeżdżałem do doktora; a przecież sami mnie zatrzymali i przy ichniej pracy zachorowałem! – Nie mogłem zrozumieć owego względu. Jednak bez ich pieniędzy wyzdrowiałem.

Siostra M. przyszła w odwiedziny do mnie, bardzo ją uprzyjemnie i z grzecznością przyjmowali – w ten sposób zaczęło się większe znajomstwo z moją rodziną. Dowiedziawszy się o poważnym stanie choroby mojej matki prosiłem Zosię by zawiozła jej trochę ziół leczniczych i wskazówki co do leczenia. Posłuchała i rankiem pojechała do Suchodoliny. Matka moja w tym czasie znajdowała się w Sokółce, przy najmłodszej swej córce Wacki. Z domu mieli przewieźć zioła i wskazówki co do leczenia matki do Sokółki. W tym dniu z rana byłem u B. kiedy przychodzi „mamusia” zabierając do domu. W domu czekał na mnie jeden chłopak, którego wzywałem we własnej sprawie. Chciałem by zawiózł list do Heli. Zgodził się ale następnym razem. I kiedyś zawiózł we właściwe ręce. Gdy pisałem na brudno list włożyłem do portfela niespodziewając się zdrady. Zosia jak była wesołą w sobotę, tak w niedzielę rano posępna i zła. Do mnie cały dzień się nie odzywała. Nie wiedziałem o co chodzi. Ale już nad wieczór zaczęła niepostrzeżenie robić mi wymówki z czego się domyśliłem że czytała list, który pisałem do Heli. W rzeczy samej stawiałem słowa miłości, które ubodziły serce Zosi. Wieczorem jednak dała się udobruchać; przyznała się że czytała list tytułowany do Heli. Przetłumaczyłem jej cyganiac, że to musiałem zrobić, ze względów innych osób, a listu nie mam zamiaru najmniejszego posyłać. Uwierzyła mi, i znów spędziliśmy w miłości całą noc. Ale list ów został przesłany w ręce Heli; przez owego chłopaka. Tak mijały dni i tygodnie spokojnie niespodziewając się że jeszcze nadciągają straszne chmury zgrozy, które uderzą w moje życie ciche.

Zaobserwowaliśmy że p. Zosia jest nie zdrową – wykazały to objawy jej ciała na które nikt by nie spostrzegł najmniejszej uwagi, gdyby w tym czasie nie przeglądali książek leczniczych i tytuły chorób zakaźnych. Bolek nie miał sam śmiałości powiedzieć Zosi, więc należało mnie się zapytać czy jest zdrową. Ja byłem w tak bliskich stosunkach więc miałem tę odwagę jej się zapytać. Gdy zapytałem odpowiedziała że to jest niemożliwością i że zupełnie czuje się zdrową. Wtedy poprosiłem ją czy by się zgodziła stanąć do kontroli przed doktorem? Odpowiedziała – Mogę. Więc umówiłem się z nią w najbliższe święto. Było to 15 lipca 1945 r. jak B. przyjechał tam rowerem i razem znów z Witkiem mieliśmy jechać do Suchowoli. Kobiety chciały jechać również, ale już furą tylko że nie miały furmana. Na prośbę „mamusi” i Zosi usiadłem na bryczkę i pojechaliśmy. Chłopcy zaś rowerami. Kobiety były bardzo zadowolone, że ja biorę z nimi udział. Przecież zawsze byli ze mnie zadowoleni i

stawiali na pierwsze miejsce. Jadąc myślałem o Zosi jakby tu zaprowadzić ją do doktora. Przedtem umówiliśmy się z Bolkiem jak mamy zrobić, by ją bez uwagi trzecich osób zaprowadzić do doktora. Więc B. miał iść sam i zamówić doktora, sam zaś ulotnić się, by nie widziała Zosia że my wspólnie działamy. Odjeżdżając na wspólną ofiarę wyrzucił 100 zł.

Zajechawszy do Suchowoli, kazałem Zosi by po nabożeństwie mogłem ją odnaleźć. Wprawdzie zaraz ją spotkałem w towarzystwie Busłówny z Suchowoli. Bez żadnego wahania się podszedłem do nich i przeprosiłem Zosię zabierając ją ze sobą. Ową scenę widział Alfons Brzozowski z Suchowoli, który był na dożynkach. Ale któż to mógł pomyśleć, na co ją zabieram. Wprawdzie wstydziłem się z nią iść po chodniku, ale zawsze w życiu swym robię dobre uczynki dla ludzi. Na tem mi dziś zależało, by tak młoda dziewczyna nie padła ofiarą. Przeszliśmy dom doktora, kazałem jej poczekać na ulicy, a sam poszedłem zobaczyć czy B. załatwił i tu B. zastałem – zabawiał się z doktorem. Nagliłem by szybko stąd odchodził zostawiając nam wolne miejsce, sam zaś wruciłem do Zosi mówiąc że jeszcze doktor nie jest wolny, są ludzie i może będą Ci znajomi więc wolej poczekać niżli być zkompromitowaną. Kilkakrotnie chodziłem do doktora sam zostawiając Zosię pod domem i zawsze zastawałem Bolka, który się bawił. W tym dniu robił sobie zdjęcie które jest pamiętne wspólnej pracy w tym dniu. Nakoniec wypędziłem Bolka i z Zosią wszedliśmy do pokoju doktora z kąpielnią miał nas zabrać do gabinetu. W tej chwili weszła jego służąca M. i zaczęła wymyślać po co my tu przyśli. Jednak grzecznie poprosiłem, by się uspokoiła, zaznaczając, że nam doktor pozwolił. I oczywiście uspokoiła się, a doktor garbaty zawołał Zosię. Ja zaś wyszedłem do poczekalni. Nie mogłem się doczekać Zosi, ani doktora, długie bardzo chwile upływały mi w niespokojności i zdenerwowaniu. Dziś miało się okazać i to już za chwilę, która tak była męcząca mnie czekając a jej słysząc skutki swego zachowania. Otworzyłem drzwi i spytałem czy można wejść na co mi doktor pozwolił. Widziałem odrazu jak doktor pisał receptę. Nie pytając o nic spytałem doktora jak wcześniej mogło być zarażenie? Odpowiedział: „Przed paru dniami”.

Zatrzęsły się wszelkie nerwy jakie posiadałem. Wpierw myślałem że nasza obserwacja może jest niesłuszną, a Zosia jest zdrową. Teraz jednak nie mogłem tego przetrwać, by tak młoda dziewczynka nie mając 17-tu lat była zarażoną chorobą weneryczną??

Wspomniałem wszystkie swe chwile i zacząłem narzekać po co wstąpiłem w progi jej domu i ją zapoznałem. Zapłaciłem za wizytę i wyszliśmy idąc do furj. Nie szedłem już z nią ulicą ale ogrodami miasta. Robiłem jej wymówki, wstydziłem a potem kazałem by się uspokoiła i przybrała spokojny wyraz twarzy, by nie poznała matka. Matka zaś niespokojna była o nas pytając się Antka gdzie my jesteśmy i co chwila nas wyglądała. Kiedy stanęliśmy zapytała nas gdzie byliśmy, na co odpowiedziałem, że byliśmy z kuzynami z Ostrówka, które są bliskie mnie tak Radziewiczom. Z tem odjechaliśmy z Suchowoli do domu. Całą drogę przygadywałem „mamusi” o złym wychowaniu dziecka, że tak pozwala przesiadywać z chłopakami po nocach młodemu dziewczęciu. Tak przyjechali do domu. W domu położyłem się na łóżko by odpocząć wedle zwyczaju. Gdy nikogo nie było wszyscy poszli z domu zostałem sam z Zosią wjechałem na nią z całą furją. Nie odzywała się, lub jak odzywała się to krótko. Pytałem ją kto zrobił tą krzywdę? ale odpowiedzi nie miałem. Mówiłem że to sprawa musiała być Franka, bo w tym czasie nikogo nie było, tylko on i zawsze zajeżdżał z Suchowoli do Ciebie nie krępując się że jeździ do doktora Łowickiego, niby za jakimiś sprawami. Kazałem by więcej z nim nie miała styczności jedno że jest złodziejem, a drugie że ci taką krzywdę zrobił, za co nie powinien się znajdować w twoim domu. Sama zaś powinna się wystrzeżać obecnie wszelkiej zabawy cielesnej z chłopcami by nie rozszerzyć choroby, która ci zupełnie zrujnuje opinię i zdrowie na zawsze. Musisz się leczyć i to szybko, by nie poszło w zadawnienie, bo będzie za późno. Pieniądze masz? – zapytałem. Nie – odpowiedziała – To jak będzie – ja wiem? odparła. – Musisz kombinować. Nie namawiam cię do kradzieży, ale musisz ratować zdrowie i temu każę Ci byś kombinowała na wódce od rodziców bo inaczej

do zdrowia nie przyjdiesz. Ja ci pomódz nie mogę ze względów by w przyszłości nie wyśmiała za moje dobro.

Następnie nie odzywaliśmy się do siebie, aż wieczorem podszedłem do niej, na jej łóżko usiadłem przy niej zacząłem znów prowadzić rozmowę pouczającą jej życia. Mówiłem: Widzisz następstwa twego życia. Za bardzo się nie dziwię bo matka twoja więcej jest zimną pozwalając na takie przesiadywanie z mężczyznami. Rozumiem – mówię – że każdy człowiek posiada odrobinę krwi. I zmysły grają swą rolę. Nam mężczyznom jest co innego, a wam przynosi miłość cielesna wstyd i hańbę, czego powinniście się wystrzegać. Ja sam zachowam ową tajemnicę Twojego życia, ale zaznaczam Tobie, byś go poprawiła. By nie goniła za każdym mężczyzną i każdym się nie oddawała, nie jest to zastrzytem panienki. Nie namawiam Ciebie dla siebie, ale żal mi jest takiego dziecka jak Ty. Przecież jesteś niebrzydka i może Jeszcze Cię szczęście spotkać w Twym życiu. A więc dziewczyna nie powinna oddać swej ręki w rękę mężczyzny by ją pieścił. Przecież są różni mężczyźni i chorzy – przez rękę choroba też może się przedostać, a podrugie oddaje się rękę, całus i coś większego temu, kogo się kocha naprawdę. A człowiek tylko może kochać jedną osobę, nie więcej, i kocha ją tylko raz prawdziwie w życiu. Jak wygląda ta dziewczyna, która każdemu oddaje swe usta i samą siebie. Ja nazwę prostytutką. Ciebie nie chcę nazywać, bo jeszcze jesteś młodziutką i głupiutką, temu właśnie poświęcam Ci ten wieczór, który nie ma już dla mnie przyjemności, chcę tylko okazać współczucie Tobie jako na dobrego człowieka przystaje. Więc niech będzie ten wieczór owocnym w dalszym Twym życiu i wyrazy moje niech będą dziś pomocą, a kiedyś dobrym wspomnieniem. Dziś możesz myśleć różnie, ale kiedyś wspomnisz każde słowo moje, które jest wydobyte z głębi serca. Uważaj Zosiu i trzymaj się moich wskazówek. Powiedziałem dobranoc i poszedłem spać. Nazajutrz przyszedł Bolek. Opowiedziałem mu wszystko bo wczoraj nie mogłem. Za kilka dni zabrał mnie do siebie, by skończyć ten marny miłości. Odszedłem zostawiając Zosię na pastwę losu bez żadnego wspomnienia.

Trzymając koleżeństwo z B. tu i uwdzie wyruszyliśmy. Kiedyś wracając z Suchowoli powiedział B., że dostał list od jednej z pańienek. Gdy zapytałem go od jakiej, odpowiedział, że od jednej z Augustowa która kiedyś z rodziną była ewakuowaną i mieszkała u B. Dziś od jej otrzymał list który zawierał słowa miłości, choć nie czytał mi ale wyczytałem z jego twarzy I kiedyś kiedy kosiliśmy owies a potem grabiliśmy i wiązali w snopy otworzył prawdziwą kartę swego życia.

– Trzeba się żenić – powiedział – zostałem sam z matką więc nie mogę zaradzić w gospodarstwie. – To się żenić – powiedziałem. – Ożenić się nie sztuka, ale grunt mieć zadowolenie w życiu małżeńskim. Ja widzisz – powiada – kochałem się dłuższy czas w tej M. Org. Ożenić się z nią... gdyby nie ojciec... On jest tak jakby w niepełnym rozumie. Zostawić ją i pójść za drugą honor jaką się okrywa moja rodzina, niepozwala. I to wszystko mnie przysłania w obecnym życiu. Mam inną dziewczynę tą właśnie od której list otrzymałem -ta mnie imponuje i mógłbym być zadowolony z życia. Ale co zrobić z M. Org? Tu zacząłem mu tłumaczyć. – Słuchaj B. Najważniejszą rzeczą jest małżeństwo dożgonne i kiedy wchodzimy w jego grę musimy znaleźć coś idealnego by być zadowolonym. Kiedyś ją kochałeś a dziś kiedy pytasz swego sumienia czy owa osoba może odpowiadać na towarzyszkę życia dożgonnego jeśli sumienie twoje odpowiada „nie” więc po co się zastanawiać? po co swym honorem psuć sobie i drugiej osobie życie kiedy się dziś czuje, że te życie nie będzie zadowoleniem? Po co mamy w przyszłości grzeszyć i ściągać karę Bożą. Dziś dopóki czas stawiajmy kartę otwarcie w oczy a tu będziemy Honorowymi! Wyczułem, że moje słowa podziałały.

W następny czwartek znów wracaliśmy z Suchowoli w rozmowie o jego sympatii której było na imię Krysia. Co za zdziwienie nastąpiło w nas dwóch kiedy zastaliśmy w domu Krysię tą wymarzoną przez Bolka. Bolek zapoznał mnie z Krysią. Powiedziałem że jest sympatyczna, potem rozmawiałem z nią, była wesołą rozbawioną i nie obraźliwą. Przez to polubiłem ją i żarcikami zawsze zbliżałem się do niej. Zbieraliśmy saradelę z pola to nam pomagała

a wieczorem przy wspólnym towarzystwie rozbawiała nas pieśniami, wierszami no i swą wesołą miną. W ten wieczór B. nigdzie nie chodził, spędził wieczór z panną Krysią w dodatku nauczycielką. Nazajutrz powiedziałem mu: – Bolek! Ta tylko może tobie odpowiadać. Julek ma żonę z dobrym głosem choć trochę chorowitą a tobie życzę jak sobie by pojął za żonę Krysię. Za jakąś godzinę zatrzymał mnie Bolek wyznając: „Zrobię tak jak ty mi życysz”.

Cieszyłem się, że mój przyjaciel będzie miał ładną żonę. Ale czułem smutek, na wspomnienie kiedy B. się ożeni, więc stracę najwierniejszego kolegę.

Następnym razem odwiedziliśmy p. Krysię w Hucie, jednej wsi mazurskiej za Sztabinem 4 km. Mieszkała w budynku szkolnym nawet dość dużym tylko pokoik miała dość skromniutki i lichy, na spotkanie nasze wybiegła ze schodów i wesołym uśmiechem nas przewitała i poprowadziła do pokoju. Bawiliśmy się przy wspólnym towarzystwie zapoznając przy tem jedną dziewczynkę, która mieściła się również w tym budynku. Wieczorem w tym samym budynku była zabawa na której byłem obecny tylko ja, bo B. spędzał wesołe chwile w towarzystwie swej sympatji. Niedługo i ja się cieszyłem zabawą, opuściłem i udałem się z jedną dziewczynką na balkon, gdzieśmy spędzili dłuższą chwilę czasu, aż przysła matka i ją zabrała do spania. Czułem, że nie miała chęci opuszczać towarzystwa wyższych osób, bo jak my się przedstawili inspektorami szkolnymi, więc każda miała chęć prowadzenia rozmowy, bodaj najdłuższą noc mogła ofiarować, ale słowa matki tak były groźne, że musiała im ulec udając się na spoczynek. Wreszcie i sam musiałem położyć się, bo sen mię obalił. Bolek natomiast spędził całą noc bez snu. Wczesnym rankiem pożegnaliśmy naszą nauczycielkę i jeszcze rosą pędziliśmy w szalonym pędzie do domu. Od tego czasu rozpoczęła się ożywiona korespondencja między B. a Krysią. Kilkakrotnie B. odwiedzał ją, ale już beze mnie, bo ja chęci nie miałem. Zostawałem w domu bez żadnej tęsknoty czując się jak głaz.

Pewnego wieczora zachodzę do Radziewiczów, wszyscy siedzą pod mieszkaniem, a nawet i Franek jest obecny. Przychodząc powitałem go zimno z niezadowoleniem, przychodziła na myśl owa chwila Zosi i jego odnoszenie się wśród społeczeństwa jako złodzieja, czułem wstręt jego. Radziewiczowa „mamusia” wzięła mię pod rękę i powiada „Chodź na spotkanie Zosi” – Zosia była we wsi do późnego wieczora. Zrażało mnie to spotkanie z którego nie byłem kontent, ale nie mogłem się upierać nigdy prośbie ludzi więc poszedłem. Wiedziałem, że ta „mamusia” chce koniecznie by Zosia była moją na zawsze. W drodze mówiłem: „Pójdę na zachód, bo tu nie ma co się dobijać i żyć bez celu!” A Radz. powiada: – Gdzie ty pojedziesz, czego będziesz szukał, czy Ci u nas źle? Tak się przyzwyczailiśmy do siebie i wszystko jedno będziesz nasz! Tak płynęły zło z ich strony codziennie.

Spotkaliśmy Zosię i z nią wróciliśmy. O jak się uradowała kiedy zobaczyła Franka. Usiadła przy nim z wesołą miną, weszła z nim w rozmowę, nie spoglądając na mnie. Nie mogłem się pogodzić z tym odnoszeniem się do mnie, a do Franka, nie mogłem zrozumieć, co to za rodzina? Cały wieczór spędziła w jego towarzystwie, ale już w domu. Przyznam, iż ciężkie chwile przeżywałem w ten wieczór, widząc i słysząc ich wesołą rozmowę. Rankiem opuścił p. Radziewiczów powracając do domu. Znow Zosia znalazła się przy mnie przymilając się i tłumacząc się. I tak z jednej strony nie lubiałem jej, z drugiej byłem zły, może nieco już zazdrosny i żal i było tego dziecięcia. Tłumaczyłem jej o rodzinie znow by zaprzestali, bo przez to ściągnięcie na siebie złą opinię Zosi, kazałem by nieznacznie odsunęła Franka w przyszłych jego odwiedzinach. Ale kiedy znow dnia pewnego zawitał, nie mogłem znieść takiej sceny, usiadłem na rower i zrobiłem przejażdżkę bezcelową. Powróciłem, usiedliśmy przy stole, udawała tak jak jej kazałem, ale to nie uszło memu wzrokowi jak od czasu do czasu zaglądała mu w oczy. Z drugiej strony tuliła się do mnie oddając mi swe ręce. Kto będzie drugim tak możen będąc w takiej scenie i wystawić sąd sprawiedliwości?

Powrócili Radziewiczowie wieczorem, „mamusia” prosiła Franka by zanocował, ale ten był zdecydowany opuścić towarzystwo. Nie wiem czemu, że tak jasno wyznawałem im sprawę

kilkakrotnie bez wstydu, kim on jest i że ma narzeczoną z którą wyszły już zapowiedzie. Mówiłem wszystkim prawdę aby ich wyprowadzić z obłudy. Jeszcze raz przyjechał na pożegnanie i już więcej nie wrócił. Pojechał na zachód...

Nie mogłem zrozumieć tego życia, przypomniałem sobie Helę i znów ją kilka razy odwiedziłem. W Heli widziałem stanowczość a nie chwiejność. I kiedyś p. Hela gościła swatów w swym domu, choć nie ona, bo ona płakała cały czas, gdy rodzina zmuszała ją do zamążpójścia. Nie mogła gościć sama, ale rodzina gościła. I jak wynika ze słów p. Stachy gdy odwiedziła pewnego razu swój dom rodzinny w rozmowie z rodziną na temat wydania Heli za mąż, Hela znów zanosiła się od płaczu. Stacha widząc mnie w towarzystwie Zosi życia codziennego, widziała jak mnie pod rękę prowadziła w czasie Żniw, odezwała się w ten sposób do Heli - „Helu ty myślisz o Witku!?! Zapomnij o nim bo on ma Zosię!” Wtedy Hela uniosła głowę do góry spoglądając oczami w sufit powiedziała – Witek ma Zosię? – niech ma” – tyle jej było słów. Owe słowa przedostały się do mnie przez usta Stachy, a kiedyś zapytałem Heli to się przyznała bez zastrzeżenia. Odwiedziłem ją kiedyś, ale mnie nie powiedziała spędzając znów wieczór w jej towarzystwie nie wyczuwając nic złego. Była nadal zadowolona i dalej mnie kochała. Aż kiedyś zabłądziłem sam w jej dom, podała mi list a nazajutrz powtórzyła słowami: – Witku, z nami nic nie będzie. Musimy się rozejść.

Ciężko mi było słuchać tych słów, które miały być ostateczne naszej rozmowy, ale nie wiedziałem czemu mamy się rozejść. Niedawno zlatła się iskra miłości w sercach, a już mamy zniszczyć to co było tak wzniosłe? Pytałem się Heli co za przyczyna zerwania, to nic nie odpowiedziała była smutną, głowę miała opuszczoną i ze łzami w oczach wpatrywała się w ziemię. Wreszcie uniosła głowę do góry i znów wesołym wzrokiem mnie pożegnała. Zrozumiałem że ten ostateczny ruch głowy i uśmiech był twardym postanowieniem „zerwania”. Dziękowałem jej za otwartość – a dziś ją również cenię za to, że w każdym wypadku była otwartą.

Pożegnałem ją na zawsze. Sam pozostałem z myślą: co za przyczyna nastąpiła naszego zerwania? Niecoś domyślałem się ale znów kiedyś prosiłem jej w liście o odpowiedź przyczyny. Obiecała, że napisze ale do dziś dnia odpowiedzi upragnionej nieotrzymałem. Jednak nikt nie był tą przyczyną tylko Zosia, „mamusia” i jeszcze raz Zosia. Kiedy już straciłem Helę nic innego mi nie pozostało jak uderzyć do Zosi i trwać przy niej, aż nastąpi oczywisty spokój serca. Jeszcze byłem u Bolka, sialiśmy żyto jak Zosia w tym czasie zapadła w stan choroby. Miała zapalenie silne tak że musieli rodzice wieść ją do lekarza. O jak się obawiałem, by nie zawieźli do Rudzińskiego, u którego my byliśmy, by nie poznał jej i nie wyświecił tajemnicy przed rodzicami. Ciężko mi było przeżywać ów dzień, kiedy Zosia z matką była u doktora. Nazajutrz około obiadu ujrzałem ową „mamusię” idącą do nas dwóch. Przełękłem się na jej widok, myślałem że idzie mnie i B. skompromitować lub dowiedzieć się dalszej tajemnicy swej uroczej córki. Gdy do nas dochodziła nieznacznie spojrzałem w jej stronę obserwując minę. Po jej twarzy poznałem instynktownie jej naprężenie nerwowe. Jednak ukazał się uśmiech na jej twarzy, który dał dowód coś dobrego. Przykucnęła przy B. bo ja poszedłem naprzód z końmi i bronami, kiedy wróciłem rozmawiała znów ze mną i prosiła by kiedy weszli do nich. Po odejściu Radz. Bolek powiada: „Przyszła oznajmić, że choroba przejściowa nic nie ma strasznego ani zakaźnego, dała dowód – powiada B. – by znów zaczęliśmy chodzić do Zosi. Stara się matka wszelkimi siłami zdobyć męża swej córce choć nie pełnoletniej. Wyśmieliśmy obaj ją i jej Zosię.

W niedzielę z Antkiem Frankiem byłem u siebie w domu i około obiadu wróciliśmy do Pokośnej jadąc od razu do Radziewiczów. Wchodząc do domu zobaczyłem duże towarzystwo kawalerów siedzących przy stole – co prawda że i nas nie omieszkali zaprosić do siebie. Zosia również siedziała przy stole ale blada bardzo mocno. Nie spodobało mi się, że ona będąc chorą gości kawalerów. I jak wynikło ze słów jej matki leżała w łóżku, ale kiedy spojrziała w okno i zobaczyła kawalerów, czempredzej się ubrała i już czekała na nich, a potem

cały czas bawiła. A nawet jeszcze tańczyła kilkakrotnie chwiejąc się jak zwiedła latorośl. Walczyłem ze sobą dłuższy czas, myśląc po co ona ich bawi raz, że jest tak chorą, a drugie co ją mogą oni obchodzić, gdyż mnie ma. Powinna być zadowolona ze mnie, a nie z innych? Chłopcy pojechali na swoje kolonje i my z nimi również ja, Wit. i Antek, a Zosia zaraz do łóżka i znowu stan groźny, gorączka przekraczała 40°.

Wieczorem odwiedziłem ją wróciwszy z zabawy z kolonji pod szosą. Zosia ledwie rozmawiała leżąc w gorączce a Radz. robiła wymówki, że ja ją nie odwiedzam i że zapomniałem bojąc się choroby którą nazwali „tyfusem”. Ona mówiła gdyby Witek zachorował to by pojechała do mnie do domu odwiedzić nie zważając na najstraszniejszą chorobę ani na to że jest dziewczyną. A ty będąc po sąsiedzku boisz się odwiedzić. Na te słowa zbliżyłem się do łóżka, a nawet usiadłem biorąc jej ręce w swoje dając przykład, że choroby się nie boję, ale jestem gniewny, że tak prowadzi życie zepsute i czemu nie słucha mych próśb? Chciałem odjechać do B. ale zaczęła „mamusia” prosić i narzekać, że opuszczam kochaną Zosię, więc zanocewałem u Radziew...

Z każdym dniem zdrowie Zosi się polepszało i w niedługim czasie wyzdrowiała. Teraz należało z drugiej choroby się leczyć, ale siły nie miała na pieniądze. Mawialiśmy z Bolkiem iż jest godną nas, ale szkoda dziecka. Jest młodą i głupiutką, matce swej się nie przyzna, a sama nie da rady. Jeśli potrwa dłuższy czas w tej chorobie, padnie ofiarą. Należało jej nam pomóc. Czekaliśmy na okazję zdobycia pieniędzy. Ale B. mając Krysię zapomniał o obietnicach pomocy Zosi. Ja natomiast byłem zawołany żniwach ukończyć pracę przy chlewie. I jak zastałem znów Zosię była przy mnie spędzaliśmy nocę, ale spokojnie – oprócz pocałunku, nic między nami nie zaszło. A w życiu ludzi pogardzałem ją z jednej strony a z drugiej żałowałem i się przyzwyczailem się. Gdy w jesieni odchodziła na tzw. tłoczkę tzn. tarcie do Kołedy na kolonje, „mamusia” kazała bym szedł z Zosią. Byłem posłuszny jej woli, pomimo że zadowolenia nie miałem i poszedłem. Bawiłem się ze wszystkimi pannami jakie tam były, a na Zosię nie zwracałem najmniejszej uwagi. Ona natomiast odczuwała wielką miłość w stosunku do mnie. Kiedy po skończonej pracy ok. godz. 23 zasiedliśmy do stołu Zosia zasiadła naprzeciw mnie i kiedy zaznaczyłem by nie piła więcej wódki usłuchała mnie. Cieszyłem się jej owym zachowaniem. Wracaliśmy obydwójce ale w tak gorącej miłości której nie mogłem określić. Zosia kochała mnie nad życie i co chwila zatrzymywała i obsypywała mnie gorącymi pocałunkami. Nie gardziłem wtedy ją, lubiałem jej usta wciąż, bo były naprawdę przyjemne i wtedy zrodziła się we mnie myśl ratunku dla niej. Dałem jej raz 200 a następnym razem około 800 zł., resztą pokierowałem i zdobyła sama. Wszelkie lekarstwa miały kosztować 1200 zł. Dawałem pieniądze zaznaczając że za moje dobro kiedyś mnie wyśmieje. Przyznam, że ona nie prosiła mnie o pomoc, ale sam dałem – ona zaś przyjęła dziękując mi. Od tego czasu rozpoczęła tajemnicze leczenie się. Nikt w domu nie zauważył, choć jednego razu matka zauważyła sine usta pytając się co zrobiła. Zosia nic nie odpowiedziała, tylko usta wytarła na tym się skończyło. I oczywiście przewidywałem swoją zapłatę.

W końcu karnawału jej chrzestna matka po zmarłym mężu sprawiła rocznicę. W przededniu Zosia ze swoją „mamusią” poszły robić przygotowania na dzień jutrzejszy – było to we wsi Pokośnej. W tym dniu był wianek Ed. Halickiego, sąsiada Kierklowej. Odchodząc Zosia do wsi prosiła bym przyszedł na wianek, bo ona również wieczorem ma być. Ale sam nie poszedłem. Zostałem w domu. O północy zjawiają się obie i Zosia przychodzi do mnie budzi mnie obsypując pocałunkami i pytając się, czemu nie przyszedł. Odpowiedziałem, że czułem się nie zdrowo; i zapytałem: – Jak Ci Zosiu się bawiło? – Dobrze, tylko smutno było, że Ciebie nie było! Posiedzieliśmy chwilę i Zosia udała się do spania.

Nazajutrz jest Kierklowa, prosi wszystkich i mnie również by wieczorem przyszedł na rocznicę zmarłego męża. O godz. obiadowej założyliśmy konie i Zosia, „mamusia” usiadły na wóz i pojechały do wsi. Przed odjazdem Zosia błagalnym głosem prosiła mnie bym koniecznie był we wsi u Kierk. a potem pójdziemy na wesele. Tak. gorąca jej była prośba a

nawet i matki, że nie mogłem się uprzeć ich woli i przyrzekłem im, że będę. Ale kiedy odjechały miałem zrezygnować, bo mnie nic nie pociągało. Jednak wieczorem dałem się namówić Wit. i poszliśmy. Zaszliśmy do ich stryja Klemensa, którego również znałem i który mnie też cenił. W domu stryja położyłem się na łóżko, bo mnie głowa silnie bolała. Przyszło kilka chłopaków, postawili wódki i prosili do stołu – nie poszedłem, leżałem dalej na łóżku. Przyszła Radziewiczowa i Kierkłowa, pogadały ze mną, poszły i przyszła Zosia. W tej chwili nikogo nie było oprócz nas dwojga. Przyszła, wypytała czego leżę i poszła z powrotem. Zadręgało coś we mnie. Czemu ona nie została na chwilę przy mnie widząc niezdrowego? Przecież nigdy tego nie robiła, lubiła zawsze być w moim towarzystwie. Dziś poszła... coś musiało się stać. Wstałem bo nie mogłem z zdenerwowania leżeć. Chłopaki powrócili do wódki i ja z nimi. Na złość zacząłem pić wódkę. Wreszcie idziemy z Witem do Kierkłowej za stół i śpiewamy. Zwracam uwagę na p. Zosię i pod obserwacją widzę jej spojrzenia które co chwila zamienia z jednym chłopakiem, blondynem, dość wysokim mężczyzną. Odgadnął tą zagadkę, czemu się nie zatrzymała przy mnie u stryja. Ów kawaler lepiej się spodobał. Po skończonej modlitwie Zosia wstaje, podaje do stołu i wreszcie zajmuje sama miejsce przy tym mężczyźnie. Nerwy moje grają, są niespokojne. Gdy skończyliśmy posiłek, młodzi mieli iść na wesele. Ja wyszedłem do kuchenki i usiadłem na szlaban oparłszy ręką o tyłek szlabana, udałem że jestem pijany i drzemię, czyli śpię. Światło pada z owego pokoiku, gdzie przed chwilą siedziałem. Zosia wstaje z owym jegomością, ubiera się i idzie na wesele. Przyszli w parze i stali przedemną, Zosi chodziło o chustkę, która leżała pod moją ręką. W jakiej pozie siedziałem, w takiej i dalej siedzę, udając, że jestem pijany; jednak im nie byłem i obserwowałem jej ruchy. Chciałem się przekonać czy jej zależy na mnie? Czy mnie obudzi i zaprosi na zabawę? Ale Zosia mając innego faceta zapomniała o mnie i chciała zostawić mnie a iść z owym jegomością. Teraz bierze chustkę i ciągnie z pod mojej ręki, tak delikatnie by mnie nie obudzić. Oczy moje otwarte, widzę ten ruch i nic nie mówiąc nieznacznie unoszę rękę pozwalając jej zabrać chustkę... Zabrała, okręciła głowę... Nerwy moje zaczęły grać tak silnie, że byłem bez pamięci i nie wiedziałem, kiedy i jak wybiegłem na ulicę. Oni natomiast spostrzegłszy mnie uciekali co sił, już w obawie przede mną, już na wesele i ja również bez celu nie wiedząc, skąd tam się wziąłem z taką szybkością, że zaledwie ta para weszła do domu i stała w kącie a błądź okrywała ich twarze.

Wszedłem, spojrzałem na nich i skierowałem się w stronę stołu, gdzie było więcej towarzystwa. Przyznam, że w tej chwili już nerwy moje uspokoiły się i byłbym spokojny, gdy Zosia podbiegła do mnie, chwyciła mięć w pół i zaczęła prosić: – Witek, Wituniu, chodź ze mną, chodź itd... Nie miałem zamiaru jej usłuchać i zostać, ale kiedy czułem się spokojny nie chciałem dać ludziom poznać o naszym zajściu i temu dałem się uprowadzić. W drodze do Kierkłowej wypowiedziałem jej zachowanie i odnoszenie się do mnie za moje dobro. Za chwilę wszedł ów kawaler z przeproszeniem do mnie, mówił: „Panie, ja nie mam nic wspólnego z Zosią i Pana przepraszam bardzo a bardzo”. Zosia natomiast i inni twierdzili, iż ów kawaler jest kuzynem, tam im wiary nie dawałem. Długo ów facet przeproszał mnie, aż mu powiedziałem: – Do Pana nic nie mam i się nie gniewam. Sam zaś poszedłem na wesele. Prawdopodobnie że znów Zosia z nim była bardzo króciutko, ale ja jej nie widziałem. Szedłem z Witkiem, który robił wymówki mi o obecnym zajściu. Wtedy zatrzymałem Witka, oglądając się, czy nie widać nikogo i zacząłem mówić: – Witku, nim zacznę tobie opowiadać o przyczynę owego zajścia, to najpierw muszę zaznaczyć, by zachował wszystko w tajemnicy i żadnej przykrości nie zrobił swojej siostrze. Widzisz, jak ona Tobie jest dobrą i wszystko masz elegancko umyte i uprasowane, temu musisz ją szanować. Teraz przyznam Tobie, że Zosia była chorą, ja jej dałem zdrowie lecząc za swoje pieniądze, a ona dziś kiedy się czuje zdrową pogardza mną, a zdobywa innych. Słyszałeś jak mnie obie z mamusią prosiły bym przybył dziś wieczorem na owe miejsce, a teraz wyprowadziła mnie w pole, jako

warjata. Nie mogłem wstrzymać swych nerwów a w dodatku miałem prawo nad nią, by znów nie wpadła w świeżą chorobę.

Kiedy skończyłem Witek nic mi nie powiedział, tylko pociągnął mnie do zabawy. Tłok był wielki jak to na wsi, dużo pijanych i grandziarzy. Zaciągnęli mnie do stołu, gdzie zacząłem znów pić, by zapomnieć co przed chwilą przeżyłem. Mało było zabawy a więcej grandy. Nawet któryś któregoś ściągnął czemś po głowie, że aż mu krew prysnęła. Wreszcie przychodzę do domu Kierkowej, gdzie widzę w owym pokoiku Zosię z Marjanem jak się nazywał ów facet. Znów fala krwi uderzyła mi do głowy. Ty Zosia, która tak szalala za mną, jam ci dałem zdrowie, tyś mnie prosiła tak gorąco na wesele, bo Ci wczoraj bezemnie było smutno, jam Ci dałem uprowadzić się przed chwilą z wesela, Ty dziś znów siedzisz z nim?... Ciężko mi było... zdawało się iż cały grób się wali na mnie.

Ona zaś wstawiała i zaglądała do drzwi, czyja znów nie zrobię wybryków. Wreszcie zakładamy konie i jej ojciec nagli do odjazdu. Przychodzę do pokoiku i każę Zosi się ubierać. Zosia siedzi i nic sobie nie robi. Tu znów szukam sposobu, by znów wylać na nią swą żółć. Przychodzę jeszcze raz i twardym nieco głosem rozkazuję jej zabierać się do domu. Ona odpowiada: – Nie jesteś mym ojcem, byś rozkazywał. Odpowiedziałem: – Choć nie jestem ojcem, ale Ci rozkażę – i chwyciłem ją ręką w straszny sposób, popchnąłem do drzwi, uderzając kolanem w pośladki. Sam zaś zwróciwszy się do Marjana, który powstał z miejsca i zbladł, odezwałem się: – Widzisz, co mogę?! Tak się skończyła tragedia tego wieczoru.

Jechaliśmy do domu bez słów. Rozmawiali, ale nie my. Jechał sąsiad Ignacy Gudel z żoną, Radziewiczze i nas dwoje. Zosia jechała w przedzie, a ja w tyle. W drodze kilkakrotnie zsuwały się otosy wozu, które sam nasadzałem na miejsce. W domu bez słowa pokładliśmy się do snu. Tej nocy nie mogłem spać, wszystko przedstawiło mi się przed oczami z życia jakie spędziłem z Zosią. Nie mogłem sobie darować i czarne myśli osnuli mą głowę. Ona która zaciągnęła mnie w grę miłości wraz ze swoją rodziną i stała się przyczyną zerwania flirtu z Helą. Ona która mnie słowami zatrzymała bym nie pojechał na zachód, zabrała mi spokój serca i duszy, zabrała spokojne szare życie, a wyprowadziła mnie w pole jako warjata... Czemu?

Domyślałam się i wypowiem w końcu mego opowiadania z życia z Zosią.

Nazajutrz czy jadłem śniadanie nie pamiętam. Dalej mi głowa pękała. Leżąc na szlabanie odezwałem się do „mamusi”: – Pani Radziewiczowo poproszę Was, by mi mokrą chustką związali głowę. Wiedziałem że ranię ją tym słowem „Pani”. Usłuchała i natychmiast związała mi głowę. Czy owa chustka pomogła co, nie powiem, bo bóle na myśl o takim postępowaniu nie ustawały. O godz. 10-tej zjawia się Marjan ze swym wujem czy stryjem z Rudawki. Wstałem i wyszedłem do kuchni siadając na ławie. Wuj Marjana mnie nie znał, więc kiedy się rozglądnął i zobaczył że nikogo nie ma oprócz mnie, dowiedział się, że nikt inny nie był przyczyną wczorajszego zajścia tylko ja... I teraz pada na kolana przede mną przepraszając za swego siostrzeńca. Przypominam, jak owemu mężczyźnie ronili się łzy z oczu, że aż mi żal go było. Potwierdzałem kilkakrotnie, że do Marjana nie odczuwam żadnego gniewu i chcę żyć z nim w jak najlepszej przyjaźni. Długo klęczał przedemną, aż wreszcie Radziewiczowa poprosiła do stołu. Marjan z osobna mię przeproszał mówiąc, że nic od Zosi nie chce i nie pragnie odemnie odebrać!... i nic w jej idealnego nie widzi, a spotkając się w Suchowoli zapoznać mnie ma z ładniejszymi panienkami. Tu poznałem że kłamie nabierając mnie na jakiś kawał. Bo myślę sobie, że u ciebie człowieku nie zasłużyłem na takie dobre przywileje, a raczej na pogardę. Przy stole Zosia znów zaglądała mu w oczy, a on natomiast udawał, że jest obojętny, choć ukradkiem zaglądał oczami w jej serce.

Widziałem, że mu się spodobała, a tylko przede mną plecie jak najęty. Wreszcie żegnają, odchodzą od stołu i znów obydwoj mnie przepraszają pomimo kilkakrotnego potwierdzenia z mej strony, że się nie gniewam. Przy odejściu należy mi się wedle ówczesnego zwyczaju wyjść z nimi czyli wyprowadzić. Ale myślę wyjść, Zosia myśleć będzie że ją pilnuję, bo ona

również będzie chciała wyprowadzić gości. Nie pójść, Marjan pomyśli, że choć zaznaczyłem, że się nie gniewam, jednak daję dowód, że dalej się gniewam, bo nie wyprowadzam. Wreszcie zdobywam się i wyprowadzam a wraz ze mną Zosia. Stoimy obydwój na progu, Marjan za progiem a wuj przy furze. Chwila rozmowy. Marjan się żegna z Zosią i schodzi z progu kładąc mu rękę na ramieniu coś mu mówiła czego nie mogłem dosłyszeć, a tylko się domyślałem: „Spotkamy się w czwartek w Suchowoli”. Marjan odjeżdża, my zaś wracamy do mieszkania.

Czy jestem spokojny? Nie! Zastanawiam się teraz czemu nie jestem zimny tak jak kiedyś? Przecież nie jest ona mnie godną i gdyby mi przyszło pojąć ją za żonę, okryłby się niesławą? – nie o takich ideałach myślałem w swym życiu; a jednak teraz zrobiła się jakaś we mnie zazdrość względem Zosi której wytłumaczyć nie mogłem. I chcę by ona całkowicie była moją... Ale gdyby znów przyrzekła zostać moją i mnie nie zdradzać, wtedy uciekałby od jej pędzony siłą prądu by jej już więcej nie oglądać.

Gniewała się na mnie i pewnego wieczoru zapytałem: Czemu się gniewa?, odpowiedziała: – Ty mnie rzuciłeś. Wtedy zbliżyłem się do niej i w obecności rodziców kazałem na zgodę dać pocałunek. I znów z jakiś czas żyliśmy i się kochali, ale czy czuło jak przystaje? Nie mogłem zrozumieć gdy raz się oddaje, drugi ma...

(luka w rękopisie)

I znów nieporozumienie rodzinne zmusiło mnie wrócić do tej samej wsi, ale już nie Radziewiczów, lecz do Sienkiewiczów. Będąc jeszcze w domu rodzinnym wysłałem list do Witka wypominając jego zachowanie. Zaznaczyłem w liście, by nigdy nie robił ludziom dobrze, bo za dobre złym płacą. Tak samo jak Twojej rodzinie i Tobie radziłem dobrze za co złym płacili, a w ostateczności sam nazwałeś mnie „dupą” za to, że zrobiłem Ci ciepło na zimę.

Teraz gdy wróciłem do Pokośnej list ów wpadł w moje ręce i miałem go sam zanieść. Jednak nie zrobiłem tego oddając list Tofilowi, który zaniósł we właściwe ręce. Odpowiedzi żadnej nie otrzymałem, a Witek zaczął powoli znów się do mnie chylić. Złość moja do jego prysnęła i zaczęłem rozmawiać lecz nie czułem do jego ani rodziny tej sympatii, którą kiedyś obdarzałem. Nie przekroczyłem progu Radziewiczów do dwóch miesięcy. Uczucie targało moim sercem, lecz bez litości. Nie trwało to nazbyt tak długo bo zaledwie do trzech tygodni. Wreszcie zapomniałem o minionych bólach wchodząc w grono młodzieży wiejskiej.

Zacząłem pracować nad sztuką, którą przygotowywałem na święta Bożego Narodzenia, by uprzyjemnić te chwile młodzieży i samemu sobie co mi pomogło w tych uczuciach.

Sztukę jaką opracowałem ze swojej inicjatywy nadałem tytuł:

NAJNOWOCZEŚNIEJSZA SZTUKA ŚWIATA W III AKTACH ROK 1939-1945

AKT I

Scena I

Scena przedstawia pokój Marszałka. Ładnie wytepatowanai i udekorowana, gdzie znajdują się kilka obrazów Polskich bohaterów, w tem jeden obraz Matki B. Częstochowskiej jako królową korony Polskiej, ładnie ubrany. Sufit musi być oprawiony w kolorowe światła lampek elektrycznych, tak, żeby scenie dodać więcej czaru. Na lewo stoi tron pięknie ubrany o dwa stopnie wzniesiony i żeby ładniej wyglądał ukleja się gwiazdkami które mają się mienić w świetle lamp kolorowych. Na tronie siedzi POLSKA w białych szatach w niskiej koronie a nad ją stoją pochylone sztandary lub flagi o barwie Biało-czerwonej i jeśli jest możliwość, stoi dwóch żołnierzy honorowych z szablami podniesionymi do góry szczegąc POLSKI. Po środku stoi stół a na nim dużo papierów i map. Za stołem siedzi MARSZAŁEK zajęty pisaniem, czytaniem albo też rozglądaniem map wojskowych. Przy ścianie stoi mały stoliczek a na nim aparat radjowy. Do tego na stole stoi mikrofon.

Przy podniesieniu zasłony radjo gra Mazórek Dąbrowskiego.

Po skończeniu muzyki mówi POLSKA do MARSZAŁKA:

POLSKA: Marszałku! Nie dość jest tego że postawiłeś przy mnie żołnierzy by szczegli mego tronu, a czy wspomniałeś choć myślą o dzieciach mego narodu?! Czy zabezpieczyłeś im życie i mają wszystkiego podostatkiem? Buława marszałkowska niech tobie przypomni ster mego narodu!

MARSZAŁEK: *(wstaje i podchodzi do tronu POLSKI, kłania się nisko)* Polsko! Ojczyzno ma! Jak ciężkie obowiązki dała mi bólawa *(unoszi ją do góry)* wobec ciebie i narodu. Lecz niech godnie ją dźierzę przyjmując te obowiązki za które życiem płacić będę. A honor Twej sławy wysławiać będę i o narodzie nie zapomnę!...

POLSKA: Dziękuję... wiem, że nie zawiedziesz... idź do pracy.

MARSZAŁEK: *(odchodzi i siada j.w.)*

POLSKA *(po chwili)* Dziś czuję iż życie moje wstępuje na powrót, a krew rozplomienia mą twarz. Nowe życie wzrasta we mnie i wychodzi na równe tory jak za Bolesławów.

MARSZAŁEK: Ojczyzno! W całym narodzie ożyło życie, serca biją jednym rytmem a usta opiewają jedną pieśń ku Twojej chwale.

POLSKA: *(wstaje i podchodzi do MARSZAŁKA)* Radość mego serca nie ma granic. Chcę wszystkich mych synów wprowadzić pod płaszc mej oto Królowej *(wskazuje na Królową Kor. Pol.)* by już żadna siła nieprzyjacielska nie targała ich życiem. Marszałku... idź do narodu w im siła. W imieniu moim złoż im podziękowanie *(tu odchodzi na tron i siada)*.

MARSZAŁEK: *(podchodzi do telefonu i mówi)* Halo! Halo! Tu mówi Marszałek. Proszę połączyć mikrofon mego salonu z główną Radjostacją Warszawa. *(Po chwili przychodzi do stołu podnosi mikrofon, oparszy ręce na stół przemawia do narodu polskiego)* Rodacy! W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej ogłaszam Jej dzień radości i chwały. Po tylu latach jej cierpień i niedoli powstała nasza Ojczyzna znów do życia, piękna błoga i potężna. Ziściły się pragnienia naszych praojców którzy krew swą za Nią przelewali. Cześć im i chwała! Biały orzeł znów swobodnie krąży nad jej ziemią, lotem swym kreśli granicę Ojczyzny. Bądźmy dumni z Jej sławy która błyszczy jak drogocenny klejnot na horyzoncie politycznym polskim. Bądźmy Jej wierni! Czuwajmy w każdej godzinie, by wróg znów nam nie wydarł wolności. *(Zamyka mikrofon i wychodzi.)*

RADJO: Przed chwilą usłyszeliście przemówienie Marszałka Polski transmitowane na wszystkie rozgłośnie polskiego radja. A teraz pięciominutowa przerwa.

Scena II

Z lewej strony wchodzi ANIOŁ w białych szatach, ręce ma złożone jak do modlitwy, na głowie złota opaska z tarczą. Za ścianą wysyła się promienie lamp elektrycznych na postać anioła by przez to dodać więcej uroku. ANIOŁ podchodzi do POLSKI, kłania się nisko i mówi:

ANIOŁ: Polsko! Naród Twój jest wybrany z pośród wszystkich narodów świata a synowie Twoi są przy tronie królestwa Bożego. Ale jak ciężko patrzeć Bogu na obecny Twój naród który zapomniał o obietnicach swoich, złożonych ślubem swej Królowej *(wskazuje palcem na obraz M.B.)* i brnie znów w grzechach... Zakwitłaś Polsko jako najpiękniejszy kwiat ziemi. Ale jeśli naród Twój się nie poprawi, nie wniesie Syna Człowieczego do swych mieszkań, znów ciężkie cierpienia Cię czekają *(lekko kłania się i odchodzi)*.

Scena III

POLSKA: *(wstaje z tronu, podchodzi pod obraz M.B.K.P i pada na kolana)* Marjo! Trzymasz mą koronę którą ci dzieci moje oddali na zawsze i kazali być Ci królową. Och nie daj im ginąć!!! *(pochyla się mocno ku ziemi oddając pokłon. Potem wstaje i wychodzi)*

RADJO: Halo! halo! tu mówi polskie radjo Warszawa, Wilno, Kraków, Lwów, Łódź i wszystkie rozgłośnie polskiego radja. Na samym wstępie nadamy dziennik. W dniu dzisiejszym na pograniczu Polsko-Niemieckim patrole niemieckie obszczeliwali w kilku punktach polskie nadgraniczne placówki. Ze strony naszych patroli sztrzałów nie było. Minister spraw Zagranicznych Bek wysłał notę do Hitlera w sprawie zamieszek nadgranicznych. Wczoraj Rząd Polski otrzymał notę od rządu niemieckiego wręczoną przez ambasadora niemieckiego w Warszawie w sprawie przeprowadzenia autostrady z Rzeszy do Prus Wschodnich. Dzisiejszym rankiem odmowna odpowiedź Rządu Polskiego została przesłana na ręce rządu niemieckiego. W całej Polsce nota niemiecka wywarła wzburzenie w narodzie przeciw hitlerowskiemu Niemcom. Przed chwilą otrzymaliśmy ostatnie wiadomości. Na całym pograniczu dały się zanotować starczki patroli polskich z patrolami niemieckimi. Na jednym odcinku Padło 3 polskich żołnierzy 1 ranny na drugim 2 rannych. Na resztę brak danych. Niemcy swoich trópów pośpiesznie zabierali by nie można było policzyć. Na tem kończymy nasz dziennik, najnowsze wiadomości będziemy podawali co chwila. Marszałek obecnie znajduje się między generalicją. *(Znów muzyka)*

Scena IV

Wchodzi POLSKA pogrążona w myślach i smutna. Zwraca się do obrazu, składając ręce mówi:

POLSKA: I znów wrogowie odwieczni czychają na moją ziemię wieczystą.

MARSZAŁEK: *(wchodzi od prawej)* Polsko! Znów hordy teutonów zagrażają Twojemu życiu... *(kiedy to mówi, POLSKA zwraca się w jego stronę. MARSZAŁEK mówi dalej)* Nieprzejrzane chmury wojsk opancerzonych stoją nad granicą, gotowi do walki.

POLSKA! Marszałku, a rycerze Twoi??!

MARSZAŁEK: Cały naród wraz z wojskiem gotowy jest stanąć do wojny i piersią swą osłonić Twój kraj.

POLSKA: Rozkazy?

MARSZAŁEK: Są wydane: wszystko stoi w szyku bojowym.

POLSKA: *(siada na tronie)* W obłokach niebios ważą się me losy.

Scena V

ŻOŁNIERZ I: *(puka do drzwi)*

MARSZAŁEK: Proszę!

ŻOŁNIERZ: *(wchodzi od prawej, podaje list dla MARSZAŁKA i czeka na rozkaz MARSZAŁKA)* List od generalicji...

MARSZAŁEK: *(rozrywa list, czyta po cichu, następnie pisze zakleja i oddaje ŻOŁNIERZOWI)* Zanieść we właściwe ręce.

ŻOŁNIERZ I: *(w dalszym ciągu stojąc na baczność salutuje)* Tak jest! *(odbiera list i odchodzi)*

Po odejściu ŻOŁNIERZA MARSZAŁEK blednie, w nerwowych ruchach trzęsie się jak z zimna i mówi:

MARSZAŁEK: Krew się leje!...

POLSKA: *(podnosząc się z zadumy)* Czyja?

MARSZAŁEK: Moich braci...

POLSKA: Moich synów... *(podchodzi do MARSZAŁKA)*

MARSZAŁEK: *(rozkłada list i mówi)* Otóż tu jest wszystko... Posłuchaj ma Pani... *(czyta)* Na ręce Marszałka Polski.

Panie Marszałku!

Na odmowną notę rządu Polskiego nie zgadzam się a wraz z narodem niemieckim i wydaję wojnę Waszej Polsce.

Adolf Hitler

MARSZAŁEK: I znów przeżywam dni, dni ciężkie które będą wpisane do ksiąg historii, a które będą zwycięstwem lub klęską.

POLSKA: A co ze mną??

MARSZAŁEK: Ty żyć będziesz powszystkie dni, bo jam piersią swą osłaniał Cię będę. Czarne litery rysować będą historie, o mnie, młodszemu pokoleniu.

POLSKA: Marszałku! Broń mego życia i mych dzieci... w tobie nadzieja, *(siada na tronie)*

MARSZAŁEK: *(podchodzi do telefonu i dzwoni)* Halo, halo! Centrala... proszę połączyć mikrofon z główną stacją. Mam odezwę do Narodu. *(Wiesza słuchawki, podchodzi do mikrofonu i staje gotowy do odezwy. Trochę zamyśla się, w tym czasie RADIO nadaje)*

RADJO: Halo! Halo! Warszawa i wszystkie rozgłośnie polskiego radja. Za chwilę usłyszycie przemówienie Marszałka Polski.

MARSZAŁEK: *(kaszla kilka krotnie by czyścić gardło i mówi głosem podniesionym)* Żołnierze Armii Polskiej! Do was przemawiam wszystkich broni, na lądzie, morzu i w powietrzu! Odwieczny wróg narodu polskiego, Niemiec, wydał nam wojnę naruszając ziemie naszych przodków a w przed dzień zbombardował nasze miasta. Jako wierni synowie naszej Ojczyzny stańmy do walki z najeźdźcą i paszczami naszych armat, tygrysami czołgów, gradem kul maszynowych przywitajmy nieprzyjaciela! ślą mu posyłki naszej stali. Żołnierze! Zachowajcie zimną krew i szczelajcie celnie by pokazać nowy Grundwald i psie pole! Ojczyzna Was wzywa. Ofiary będą, ale zwycięstwo po naszej stronie. Wielkie mocarstwa świata staną w naszej obronie i wróg pokonany będzie. A więc drżj Hitlerze przed naszym ciosem, nie to, że Pragniesz Pomorza Śląska, my ci guzika od munduru darmo nie damy. Zapłacimy Ci za wszystkie najazdy z całej historii i 150 letnią niewolę. Żołnierzu! szczelaj równo i celnie w tobie zwycięstwo! *(Zakrywa mikrofon, podchodzi do POLSKI tronu, klękając na kolana mówi):* A teraz błogosław mnie i całemu narodowi, *(po cichu:)* Na rzucim ziemi...

POLSKA: *(wyciąga rękę nad głową MARSZAŁKA)* Błogosławię Ciebie i naród by krew przelana nie była daremną. Niech Cię Bóg błogosławi i da zwycięstwo nad wrogami. *(Tu żegna krzyżem.)*

MARSZAŁEK: *(całując szaty wstaje i odchodząc mówi)* Prochy moje będą przy Tobie. *(Wychodzi)*

Scena VI

Za sceną słyhać Mazórek Dąbrowskiego... Padające komendy wojsk... ruch i łomot wyobrażający odchodzących oddziałów na front. Piosenka „Legjony”, huk bębnow... znów ruch... piosenka „O mój rozmarynie”. Bicie dzwonów kościelnych. Wszystko to przedstawia ruch bojowy. Chwila milczenia, tylko radio gra hymny żałobne.

Następnie za sceną wywołuje się strzelaninę, specjalnymi narzędziami: huki armat, strzałów karabinowych, rozkazy dowódców. Jęk rannych i konających. RADJO podaje wyniki wojny... cofających się wojsk... wielką nawałę i siłę przewagi niemieckiej.

RADJO: Silni zwarcu gotowi. Polala się krew naszych braci w obronie Ojczyzny. Oddziały wojsk spieszą na odsiecz wrogowi. Idą z zimną krwią by piersiami przysłonić swój kraj. Na znak wielkiej żałoby poruszyły się dzwony wszystkich kościołów i rytmem swym wzywają naród do obrony. Synowie Ojczyzny żegnają swe rodziny. Nie jednemu z ich płynie gorzka łza rozstania, a potem pół uśmiech który jest wyrazem pewności w zwycięstwo.

Generał Bortnowski przekroczył granicę polsko-niemiecką. Kawalerja polska znajduje się na Prusach Wschodnich. W dniu dzisiejszym padło do niewoli 70 czołgów niemieckich. Jeśli tak dalej pójdzie, Niemcy nie nadążą robić. *(Chwila milczenia)* Wielka nawała niemiecka przerwała linię frontu w 3-ech miejscach i kieruje się na Warszawę. Uwaga! Uwaga! nadchodzi K.m. 31 P.S. 14 M.O.150. Przeszedł, R.K. 130 D. J. 18 C.O. 310.

Duchy bohaterów co osłanialiście tą ojczyznę przez wieki, ztąbcie dziś z nieba i zgniećcie krzyżacką zawieruchę.

Następnie RADJO milknie czyli radiostacja jest zbombardowana, coraz silniejsze bąbardowanie i wreszcie głosy mowy niemieckiej. POLSKA w tym czasie wojny chodzi z miejsca na miejsce powracając na tron, to znów staje przed obrazem M.B. Cz. K.K.P. wzdychając ciężko.

POLSKA: O nie opuszczaj mnie Królowo! *(Znów zasiada na tronie mówiąc do żołnierzy stojących obok:)* Zbliża się kres memu życiu, krew zamiera w mych żyłach.

ŻOŁNIERZE: Obronimy Ojczyzno, nie damy Cię siepaczom niemieckim, choćby trupem padnąć mieli.

(W tej chwili drzwi się otwierają i wpada trzech Niemców z błyskawiczną szybkością i sztórmem).

NIEMIEC I *(FRANC)*: O jest na tronie siedzi.

(Wszyscy Niemcy robią hałas napadając na POLSKĘ, tron i żołnierzy rozbrajają pod pistoletami (z drzewa) rzucając szable ich na ziemię a zarzucając im pętlę na głowy. Jeden Niemiec trzyma koniec pętli w jednym ręku a w drugim pistolet).

NIEMIEC II *(BRUNO)*: Tutaj wam miejsce, będziecie wisieć wy polskie sobaki *(wskazuje palcem na sufit i krzyczy dalej trzęsąc się ze złości).*

NIEMIEC II i III: *(wiążą POLSKĘ łańcuchami, biją, kopią i rzucają na ziemię mówiąc)* Tutaj Ci miejsce a naród Twój wszystkim wisieć będzie... Rozumiesz Ty polska świnia.

(W tej chwili zasłona zapada i koniec aktu pierwszego. Kiedy POLSKA Już leży na ziemi związana łańcuchami światło na suficie powoli gaśnie i wtedy scena zapada.)

AKT II

Scena I

Nie ma już tutaj tronu ani światła na suficie, nie ma obrazów polskich. Scena przedstawia pokój Hitlera.

HITLER: *(siedząc w fotelu)* Meine kopf, meine kopf.

NIEMIEC I *(FRANC)*: Was ischt geszeen Firer?

HITLER: Głowa mi pęka z mych nieustannych myśli, chcę podbić całą Europę i być jej panem... *(po chwili)* Idź z rozkazem do marszałków polnych podbić Danję, Belgię, Holandję, Francję.

NIEMIEC I: *(staje przed HITLEREM na baczność)*

HITLER: *(wręcza list)*

NIEMIEC I: *(odchodząc)* Hein Hitler!

HITLER: Ja... Hein Hitler!

Scena II

Ukradkiem wchodzi szatan w czarnej postaci i kryje się za fotelem. HITLER wstaje i idzie do stołu a za nim w niespostrzeżeniu SZATAN i idąc go wykrzywia.

HITLER: *(siada)*

SZATAN: (za nim szepcze mu do ucha i podnosi rękę do pisania i prowadzi rękę w pisanii. Kiedy publiczność się śmieje, SZATAN przykuca za krzesłem i się śmieje) Hi hi... Hi hi...Hi hi...

HITLER: *(gdyby nie mógł wstrzymać owego śmiechu)* Jestem zadowolony, naród po narodzie wszystko padnie *(wstaje)*.

SZATAN: *(wygłupia HITLERA)*

Scena III

NIEMIEC I: *(wchodząc)* Hein Hitler!

HITLER: Ja Hein Hitler.

NIEMIEC I: *(podaje list)* Belgia, Danja, Holandja kaput.

NIEMIEC II: *(robi to samo wręczając list)* Norwegja, Francja kaput.

HITLER: Kaput, kaput, Alles kaput. Das mir ist krygs. Italja, mit Musolini auch kaput! *(śmieje się)*

(Tutaj) mogą sobie popić.)

NIEMIEC I i II: *(wychodzą)*

HITLER: *(Znów podchodzi do stołu a SZATAN za nim nakłaniając go do pisania. Pisze dłuższy czas a SZATAN prowadzi jego rękę coś szepcze do ucha. HITLER wstaje podchodzi do aparatu telefonicznego, mówi do słuchawki i wieszają spowrotem na ścianie. W tej chwili zjawia się NIEMIEC II.)*

Scena IV

NIEMIEC II: Wedle rozkazu.

HITLER: *(wręcza list)* Podbicie Rosji w sześciu tygodniach.

NIEMIEC II *(kłania się i wychodzi)*

NIEMIEC I: *(w tej chwili wchodzi i wręcza list HITLEROWI i znów wychodzi)*

HITLER: *(odbierając list rozrywa i czyta)* Meine libe Hitler! Duto preduto greko bandyto an Italjo magistrat obyto. *(rzuca list na ziemię i krzyczy)* Meine libie Musolini! Wsadź magistrat do morza, *(śmieje się. Następnie przechadza się po pokoju i zapala papierosa. Jeśli to jest możliwe, RADJO gra niemiecką muzykę.)*

Scena V

ANIOŁ: *(pełen pokory i dumy wchodzi na scenę stając przed HITLEREM)* Kanclerzu. Krwią miliony niewinnych dzieci jest zroszona ziemia święta która woła o pomstę do Boga! Miliony Matek i dzieci osieroconych wylewają łzy, które nie spadną bez uwagi Bożej na ziemię. Tyś stał się przyczyną rozlania krwi bratniej i przeto odpowiadać będziesz. Godzina zemsty nad Tobą i narodem Twoim jest bliska! Przeto upominam byś zaprzestał prześladowań a bijąc się w piersi miłosierdzia Bożego albowiem u jego jest nadzieja.

HITLER: *(na widok ANIOŁA i Jego jasności przełęka się, kryje twarz ręką, potem opuszcza a SZATAN swą ręką zasiania mu oczy)* Maine Got maine got!

ANIOŁ: *(odchodzi)*

SZATAN: *(prowadzi HITLERA przed mikrofon nakłaniając go do przemówienia)*

HITLER: *(podchodzi do telefonu)* Halo halo. Proszę połączyć mój mikrofon z główną radiostacją. *(wiesza słuchawkę i podchodzi do mikrofonu)* Żołnierze! Choć większa przewaga aljacka nie upadajcie na duchu. Chwilowe cofanie się nie dowodzi o klęsce. Mamy nadzieje w nowej broni bąb latających które okażą swoje skutki nad wrogami. Nie tam!!! to przed bramami Rzeszy niemieckiej padnie, *(zamyka i wychodzi za nim SZATAN)*

(muzyka z płyt)

(Za ścianą słychać dalekie huki armat, które co chwila zbliżają się)

Scena VI

HITLER: *(wchodzi)* Nie wytrzymam, wojna nie udaje się, przeklęte aljaci.

NIEMIEC I: *(wbiega z szybkością)* Firer! wojska inwazyjne łamią linę Zrykfryda, nasze magazyny broni są w Płomieniach.

NIEMIEC II: *(wpada)* Firerer! Wojska sowieckie Forsują Wartę i Niszę. Armia polska we Włoszech zajęła Mone Casino. Po naszej stronie moc trupów, spierzchniane oddziały cofają bez ładu, polakom otwarta droga do Polski.

NIEMIEC I: *(gdy skończył wyszedł, a gdy drugi kończy wbiega pierwszy)* Firer! Ze wschodniej strony wojska polskie otaczają Berlin, z północy bolszewicy, z zachodu anglosasi są blisko a lotnictwo polskie krąży bez ustannie nad miastem. *(Słysząc wyraźnie bąbardowanie i wszelkie wybuchy.)*

SZATAN: *(się śmieje, włazi HITLEROWI na plecy i z tyłu dusi za szyję śmiejąc się)*

HITLER: *(wstaje, przechadza się)* Nie przeżyję, nie przeżyję. *(składa ręce)* Boże mój, Boże mój. Main Got, main Got, miej litość nade mną.

ANIOŁ: *(wchodzi)* A Tyś nie miałeś litości nad tylu sierotami, dziesiątki tysięcy dusz schodzi z tego świata przez różne katusze i męczarnie. Byłeś Bogiem a teraz wzdychasz do Boga? Daremnie!

SZATAN: *(stawia flaszkę z tróćizną na stole)*

HITLER: Litości, litości.

ANIOŁ: Wszystko przeminie a słowa Boże nie przeminą. Wyrok Sądu Boskiego już zapadł, *(odchodzi, SZATAN podskakuje, ANIOŁ od drzwi zawraca)* Szatanie, Twoja to przyczyna. *(uderza mieczem i odchodzi)*

HITLER: *(siada)* Nie przeżyję tej sceny, wolę zginać od swojej ręki.

SZATAN: *(podaje flaszkę z trucizną)*

HITLER: To będzie najlepsze, inaczej być nie może. Nie doszedłem do geniusza, sprowadziłem klęskę na naród, który sam mnie za chwilę zamorduje żem sprowadził tą klęskę, *(bierze flaszkę, trochę trzyma)*

SZATAN: *(bierze za rękę i odkorkowuje flaszkę i ręką jego rękę podnosi do ust)*

HITLER: *(pije)*

SZATAN: *(mocniej nachyla flaszkę)*

HITLER: *(udaje straszne chrapanie)*

SZATAN: *(włazi mu na plecy zaciska go za szyję i tu padają obaj)*

HITLER: *(nieżywy)*

SZATAN: *(odgrywa swą rolę wesołą)*

Za sceną świst i szum. SZATAN wybiega za scenę i za chwilę powraca w płomieniach ognia, za nim światła czerwone. Gdy ma już dość siada na Hitlera ciągnąc za scenę mówiąc:

SZATAN:

Choć bratku w piekielne pałace.

Tam ci zapłacę.

Dość tobie wybryków,
posłuchasz piekielnych ryków.

Byłeś panem i Bogiem.

No mój miły bracie,
pojedziem w piekielne połacie.

Dobra droga się szykuje,
w Piekle smoła się gotuje.

(Scena zapada i koniec Aktu II-go)

AKT III

W trzecim akcie zakończenie całej komedji

Scena I ma przedstawiać cmętarz polowy. Scena musi być przegrodzona na połowę. Na jednej połowie stoi 6 krzyżów w dwóch rzędach, wysokich około 70 cm, oprawionych w podstawki z napisami „Tu leży X”. Ziemię usłać zielenią widłaków, kwiatami. Po bokach stoi kilka drzewek. Dwoje dzieci znajduje się klęcząc na cmętarzu. – mogą śpiewać jakąś piosenkę lub się modlić, kiedy zasłona jest opadnięta. Odkrywa się zasłonę jedną tylko połowę gdzie widzimy również kilka drzew a między drzewami leżąca postać kobieca skuta łańcuchami jako POLSKA stękając i prosząc o ratunek. W tej chwili wchodzi ANIOŁ, pada więcej światła, pochyla się nad POLSKĄ.

ANIOŁ: Polsko! Synowie Twoi krwią swą zmyli niewolę... wstań!

POLSKA: Nie mogę...! Ciężkie kajdany gniotą mnie ku ziemi.

ANIOŁ: *(zrzuca łańcuhi i za rękę podnosi)* Wstań! Znalazłaś łaskę u Boga... Idź i spójrz na swój kraj powojenny.

(Prowadzi ją na drugą połowę; zasłona zakrywa się a w tej chwili wnosi się znów sześć krzyżów w podobny sposób jak w pierwszej połowie. Pośrodku tablica z napisem „Tu spoczywają bohaterowie polscy” i flaga jest zatknięta (wszystko trzeba zrobić z błyskawiczną szybkością), również ustawić świece i lampki kolorowe a przegrodę na scenie się usuwa i odsłania się cały obraz. Dzieci klęcząc modlą się a ANIOŁ wprowadził POLSKĘ, wskazuje palcem na mogiły, zostawia POLSKĘ i wychodzi.)

POLSKA: *(chwilę patrzy wznosi ręce do góry)* Ach! dzieci moje *(pada na kolana)* mogiły świętej ziemi pokryli wasze młodzieńcze życie *(zalewa się łzami)*.

ANIOŁ: *(wkłada jej koronę i płaszcz. Jedną rękę wyciąga nad mogiły, drugą nad Polską przez chwilę i zchodzi ze sceny.)*

(dzieci w dalszym ciągu się modlą)

DZIECKO I: Tatusiu, powstań z tej ziemi.

DZIECKO II: Czyż nie widzisz, że my jesteśmy osieroceni?

DZIECKO I: Nie mamy Ciebie, matki, domu...

DZIECKO II: Ani się uzalić komu.

POLSKA: *(wstaje, podchodzi do dzieci, kładzie ręce na ramiona dzieciom)* Duch waszego Ojca jest z Wami a matką ja jestem i nic wam złego się nie stanie, bo okryję was swym płaszczem *(w tej chwili okrywa dzieci płaszczem)* Rośnijcie na chwałę Bożą i pożytek Ojczyzny. O rodzicach waszych nie zapominajcie i módlcie się. *(odchodzi dalej, klęka z łożonemi rękami nad mogiłą)*

(Teraz wchodzi żołnierze ze sztandarami oddają honor umarłym pochylając sztandary nad grobami. Jeden z nich zajmuje głos przemówienia:)

Żołnierzu! Który odszedł od nas we krwi purpurze w dumnej chwili śmierci i walki. Który zaścieliłeś pola bitew. Nad Łowczakiem, Anielinem, Rokitną. Pod Wilnem, Lwowem, Westerplater. Nad Wisłą, Niemnem i Wartą! Czy dociera dziś do ciebie twardy krok naszej marszerującej dywizji, huk naszej pancernej armii i warkot naszych samolotów! Czy słyszysz tryumfalny łopot biało-czerwonych sztandarów zrywających się w nowe zwycięskie pochody... Wielka rezerwa armii... Bohaterowie śpiący snem nieprzespanym wzdłuż wszystkich polskich granic. Ojczyzna o którą walczyliście jest żywa i potężna. Nad waszemi grobami które będą niezdobytą twierdzą polskiego oporu i punktami wyjścia Polskiej ekspansji dziejowej zwołują się nowe drużyny młodych spadkobierców polskiej misji dziejowej i chwały polskiego oręża. Żołnierzu! Możesz spokojnie spać dalej w tej ziemi, która Ci była matką... Wizję Polski potężnej i sprawiedliwej przyjmujemy. My młodsze pokolenie jesteśmy czujni i gotowi!! Gdy Polska zawoła pójdziemy jak Ty ongiś na nowe trudy, po nowe zwycięstwa!!!

(tutaj Mazórek Dąbrowskiego, jedna strofka)

POLSKA: *(zwraca się na pół do publiczności, wyciągając jedną rękę nad ludźmi, drugą nad mogiłami)* Weselcie się w dniu pięknym historii... Okażcie swą radość i na ustach wnieście pieśń błagalną do Boga, by raczył dalej błogosławić Ojczyźnie.

W tej chwili naród śpiewa „Boże coś Polskę” Jedną strofkę. Tu. gdzie śpiewają „przygnębić ją miały” wchodzi ANIOŁ z obrazem Matki B. Częstochowskiej, staje, a POLSKA, kiedy śpiewa się „przed Twe ołtarze” klęka przed obrazem.

Zasłona powoli zapada
i koniec komedji.

Odegraliśmy ją na pierwszy dzień Bożego Narodzenia dla dzieci, na drugi dla ogółu, a na Trzech Króli ponowiliśmy sztukę ową. mojej pracy oceniać sam nie mogę – oceniają ludzie. I oczywiście ją ocenili bardzo drogo.

Wtedy to chcąc się okazać przed ludźmi, że jestem coś wart, i jestem nie taki jak mnie Radziewicz zrobił: durniem, warjatem i jeszcze tam jakim, ułożyłem wiersz Pokośnej pt. „Kochana Pokośna”, który brzmi na początku mej opowieści, tj. życia w Pokośnej. Kto go zrozumiał, kiedym deklamował ten wiersz na scenie po skończonej komedji, ocenił ten wiersz i mnie również. Ów wiersz zawiera moje życie w Pokośnej.

W czasie prób owej sztuki byłem zmuszony wstąpić do Radziewiczów do Witka w sprawach związanych ze sztuką. Zimno ich witałem i zimno byłem witany. Nic te zachowanie mnie nie wzruszało bo już zapomniałem. Choć niezupełnie, bo tak jak wulkan wygaśnie ale z kraterów wydobywa się dym płomieni niedogastych i jeszcze odzywa się czasem niosąc spustoszenie przez odświeżoną lawinę.

Na słowa ludzkie o tej rodzinie zadrza serce nerwowo ale i znów się uspokaja. Przypuszczam, że ten wulkan wygaśnie zupełnie, a kratery z biegiem czasu zrównają się z powierzchnią – nie ziemi, lecz serca.

Teraz dla pamięci mojej tego burzliwego życia postawię Tobie Zosiu kilka mych pytań:

1) Co widziałaś we mnie, że mnie pokochałaś i zmusiłaś mnie do kochania, gdym Cię nie to kochał ale nie lubił i znosić nie mógł???

2) Czemu innych nie kochałaś gdym tego nie bronił a raczej chciałem. Goniałaś za mną i matka Twoja??

3) Czemu byłaś zazdrosną o Hele Szczukówną i list mój do niej sprawił Ci wielką nieprzyjemność jak również i notatka Heli w notesiku?

4) Po co kilkakrotnie wyrażałaś swe słowa: „Jak ja do Ciebie się przyzwyczaiłam”, gdyż tego nie pytałem. Albo „Chcę być Twoją na zawsze”???

5) Dlaczegoś zeszła z tej drogi i upadłaś w stan choroby? Czy Ci nie było zamało jednego??

6) Czemuś się nie upamiętała po wypadku i te moje nawoływujące słowa były bezskuteczne?

7) I cóż się stało potem? Co ci zawiniłem złego gdym dałem ci zdrowie, a Ty powoli, stopniowo zaczęłaś mnie opuszczać? Pogardziłaś moją dobrocią i moją pracą?

8) Dlaczegoś, zostawiając mnie nie trzymała się tych których kochałaś, ale co pewien czas zmieniałaś lub miałaś je kilku naraz?

9) Jak kochałaś Bolka, czemu oddawałaś się codziennie mnie, zdradzając i jego?

10) Czemu, jako kobieta nie dałaś mi odpowiedzi, w tych burzliwych dniach gdym Cię prosił i zaznaczał, że nic złego nie zrobię. Raczej za milczącą odpowiedź będę się mścił???

11) Dlaczego Twoje ciało było nies. tak jak u innych kobiet które znałem?

12) Co za przyczyna, że nie mogłem Cię zapylić, gdy już tego pragnąłem w ostatnich dniach raczej miesiącach mego pobytu w Twym domu, starając się pomścić me krzywdy?

ODBICIA

Tekst *Pamiętnych dni przeszłości* dotarł do nas w postaci ułomnej. Zeszyty w szarych okładkach leżały na strychu, służąc za stały pokarm dla myszy i niekiedy za awaryjne opakowanie. Czyż nie taki jest zresztą los wszystkich rękopisów, które minęły się ze swoim czasem? A autor pamiętnika minął się ze swoim czasem szczególnie drastycznie. Postawił na salwarsan – tymczasem penicylina miała wkrótce rozwiązać większość problemów; postawił na miłość, kiedy epokę cechowała wstydlivość uczuć; postawił na Grottgera, gdy trzeba było stawiać na Osmańczyka; wreszcie postawił na słowo pisane, tymczasem niebawem pod strzechy miała zabłądzić telewizja. Choć w swoim czasie musiał być to tekst czytany – zasadnicza część przekazu dotarła do nas w postaci kopii wykonanej równym kobiecym duktem pisma.

Od całkowitego unicestwienia uchronił go przypadek – taki przypadek wydobywa niekiedy ze starej poduszki bezużyteczne dziś marki i carskie ruble bez pokrycia. Taki przypadek przy porządkowaniu rodzinnego, ciąganego przez miejscowości i lata kufra każe dostrzec coś intymnie bliskiego w sparciętym kawałku niebieskiego materiału. Na moment stajemy wówczas osłupiali – w litej materii rzeczywistości otwiera się dystans.

Pamiętne dni przeszłości czytane z dystansu czterdziestu paru lat domagają się od nas dystansu. Tyle że one ten dystans wpisały w siebie od samego początku, a my, odczytując je z dystansu i z dystansem, wpisujemy się, wpadamy w pułapkę autorskiego dystansu. I nieważne, jakie ma imię – bo żyją jeszcze świadkowie i aktorzy wydarzeń, a pewnie żyje i on sam – ten nieustraszony poszukiwacz prawdziwej miłości i ideału: *call me Ishmael...*

Nazwijmy go – skoro sam siebie tak nazywa – Witoldem.

Na werandzie p. Mickiewiczów

Trudno wyobrazić sobie bardziej idylliczny początek opowieści: „Stary pałac bieli się z daleka... Duże drzewa i krzewy rozciągają się w koło pałacu...” A dalej: „staropolska wieś o słomianych szczytach zabudowy”... Witold jedzie co prawda rowerem – nie wysiadł z dwukonnej bryki, puszczone samopas konie nie zaczęły szczypać trawy – ale i tak wieczorem znajdzie się „na werandzie p. Mickiewiczów”.

Bo jest to pejzaż, także w sensie geograficznym, mickiewiczowski. Historyczna Litwa, tereny zamieszkałe przez ludność polską i białoruską, której piosenki zbierali filareci, do których melodie układała Maryla... Konglomerat językowy i narodowościowy. Tu wsie są „staropolskie”, choć konia zaprzęga się „po rusku”, mówi „po prostu” i nic to, że niektórzy tych, co po prostu mówią, nazywają „muzykami”. Język pierwszy – ten, którego używa się na co dzień, nie w publicznym dyskursie – nie ma bezpośredniego związku ze świadomością narodową. Dziewiętnastowieczne szaleństwo nacjonalizmów jak gdyby jeszcze tu nie dotarło. Obserwujemy dopiero jego zwiastuny, zapowiadające je znaki. Opozycja między językiem polskim a ruskim jak się zdaje dla rówieśników Mickiewicza pozbawiona była wszelkich osądów wartościujących. Teraz natomiast została wpisana w przeciwstawienie niższości i wyższości. Dlatego Witold „na werandzie p. Mickiewiczów” stara się mówić – to jego słowa – po polsku.

Jak mówiłby, gdyby się nie starał? Może tak?

Pamiży takimi palami kaliś pry ruczai,
Na uzgorku łahodnym takim, u biarozawym hai
Stajał padmurowany dwor, choć kruhom dzieraulany:
Aż zwoddał świacilisia ścieny jaho pabialany,
Bialejszyja tym, szto ad zieleni ciomnaj adbity,
Ad topalau, dobraj u wosień ad wietru zaszczyty.
Toj dom niewialiki, da czysty naukoła i usiudy;
Wializna humno, a pry im try stahi,byccam budy,
Dobra, szto pad strechi u tarpy utaupicca nie można.

Gdyby się nie starał, być może mówiłby: „u domie u hetym dastatak żywie i paradak”. Ale że się stara, mówi co innego: „Stary pałac bieli się z daleka. Ściany jak widzę na zewnątrz są oberwane widocznie na skutek starości. Duże drzewa i krzewy rozciągają się w koło pałacu, oprowadzone naokoło siatką drucianą też porwana. Szeroki dziedziniec na którym leży tyle zawaliska narzędzi rolniczych, mury powalone i niedopatrzone. Kiedyś ten dwór musiał piękniej wyglądać – dziś nie jest równy wiejskiej zagrodzie.”

Minął czas dyplomatyki i łowów, z dawnego gospodarstwa zostały resztki świetności. Ziemiański model patriarchalny już nie istnieje, kikuty wiśniowego sadu ogradza porwana siatka. Chłopi wszystko wywożą na rynek, a do pobliskich wsi przyjeżdżają na wakacje grodzieńscy urzędnicy. Aktywiści Hromady mówiliby pewnie o kapitalizmie, ale gdzie tu kapitalizm? Uprzemysłowienie kraju pozostaje w sferze rojeń i fantazmatów, dlatego panience zaimponować można tym, że jest się synem dyrektora kopalni. W pamięci trwa jeszcze ważna Sędziego nauka o grzeczności i – jak zawsze, gdy na wsi pojawia się młody byczek – zaczynają się umizgi. Koszulki na piersiach Zoś, Stefc, Maryś i Werek falują nieustannie... „Niedługo trwała moja grzeczność bo obmacałem najpierw Stefcie a potem z kolei Zosię”. Ale czy uschnie ręka świętokradcy? Nie, już prędzej uschnie dziewicza pierś. W zgodzie z literackimi kliszami i – pewnie – prawdą.

W mickiewiczowskim pejzażu, „na werandzie p. Mickiewiczów”, realizuje się negatyw mickiewiczowskiej utopii. Była to utopia społecznego solidaryzmu. Teraz z każdego kąta wychynęły sprzeczności, choć chyba nikt jeszcze nie dostrzega – bo wieczór, pachną jaśminy, pełga naftowa lampa i tak namiętnie kumkają żaby – zapowiadających koniec jakiegoś świata znaków. Ale na miejscu starej browarni jest lotnisko polskie, podupadają nie wytrzymałe nowej polityki agrarnej dwory, budują się chłopskie zagrody (Witold jest domorosłym murarzem), pojawiają się sprzeczności narodowościowe przekładane na kategorie sprzeczności klasowych – a może odwrotnie? Realizowana utopia staje się farsą – może tak należałoby przetworzyć sławne zdanie Hegla? Nie zapominajmy, że parę lat wcześniej Bronisław Taraszkiewicz, aktywista Hromady, członek Komunistycznej Partii Polski, przekładał w grodzieńskim więzieniu *Pana Tadeusza* na białoruski. Ci zaś, których zwano „muzykami”, potomkowie dawnych osaczników królewskich, bieżący, którzy po piekle rewolucji wrócili na uprawiane przez ojców i dziadów ziemie, próbowali ponowić mityczny założycielski akt: budowali, porwani słowami proroka Ilji, stolicę świata – Wierszalin. Na zdjęciu z 1936 roku, reprodukowanym w książce Włodzimierza Pawluczuka, na ciemnym tle widać typowe dla tamtych okolic chaty. Weranda – bo zazwyczaj takie domy miały werandę – musi być z drugiej strony.

Dlatego tak groteskowe sprawia wrażenie opis pułkowego święta w Foluszu, owego Mickiewiczowskiego „kochajmy się!”. Są tu „większe dostojnicy” i zgoda panuje pełna, nawet oficerowie usługują szeregowcom, niczym mistrzowie świętego ceremoniału rytualnie obmywając umyte wcześniej stopy. Ale oko Witolda beznamiętnie rejestruje pęknięcia na tym zbyt pięknym, aby był prawdziwy, obrazie. Oto jedni oficerowie są podrzucani w górę, inni nie – widocznie „musieli być w swym czasie katami dla żołnierzy”; oto starostowie i wojewodowie piją wino, tymczasem pospólstwo żłapie piwo – dystrybucja napojów alkoholowych staje się znakiem przedziałów społecznych. Czy jest to jednak piwo ze starej browarni, z której „po garcu piwa każdy musiał wypić dla rozgrzewki i już był nieprzytomny”, śmiem wątpić; co innego uderza teraz do głów.

Doprawdy, trudno odmówić Witoldowi wyczucia ironii (ale czy to j e g o ironia? – to coś więcej niż bezsilny grymas wydziedziczonogo, to ironia faktów), gdy opisuje zawody jeździeckie: „Jeden porócznik otrzymał tą nadgrode, że spad z konia w czasie skoku przez rów i skręcił sobie kark co go zaraz pogotowie zabrało do szpitala. Jednak szkoda go było bo był w pięknym mundurze.”

Z mickiewiczowskiej wizji pozostał jedynie blask munduru, który – choć zabierają go do szpitala, dostaje „nadgrode”. Kiedy Słowacki, ulubiony autor Marszałka, postanowił naprawić *Pana Tadeusza*, bo jego zdaniem była to książka o wieprzowatości życia wiejskiego i polowaniu na kaczkę, wprowadził w progi Soplicowa Napoleona. Może rzeczywiście było to w swoim czasie rozwiązanie polityczne – gdyby Napoleon tu założył swoją kwaterę wojenną, inny pewnie byłby finał wyprawy na Moskwę – ale ponieważ skończyło się na rozwiązaniu czysto tekstualnym (a inaczej być nie mogło ani wówczas, ani potem, choć Mochnacki, roze-

sławszy wici po litewskich zaściankach, wygrał w *Powstaniu narodu polskiego* powstanie listopadowe), Słowackiego próba naprawy Mickiewiczowskiego poematu zamiera: tekst staje przed granicą, za którą otwiera się nieprzewidywalne.

Pozostaje blask munduru. Jednej ze szkół „zagrzebanej ziemi grodzieńskiej” będzie wręczone radio, aby mogła słuchać przemówień Marszałka.

Mody, domy

Dom jest obrazem świata. Zorientowany według jego stron nie tylko dlatego, by brzask budził śpiących, a luna zachodu kierowała krokami wracających po pracy – dom wprowadza ład w to, co z natury rzeczy jest i być musi przypadkiem. Chaos przemienia w kosmos. Obłaskawia przestrzeń. Wyznacza światu środek. A jak nad kościołem realnym, przez ludzki trud wydzwigniętym z kamienia i gliny, Kościół inny, duchowy, wyrasta, tak samo ponad domem – nawet jeśli to jest najniebezpieczniejsza lepianka – wyrasta Dom. Wszelkie budowanie bowiem, tak samo jak sporządzanie czegokolwiek – powiada Mircea Eliade – za wzorzec ma kosmogonię, ponawia Boski gest stwarzania świata.

Dzieło, które położyło fundamenty pod naszą literacką nowożytność (badania statystyczne dowodzą, że *Pan Tadeusz* powinien być w każdym polskim domu. Biblia znajduje się na dalszym miejscu) otwiera obraz domu. Domu, który staje się Domem; jego białe ściany – jak zjawy – będą odtąd straszyły i napominały, nawet wówczas, gdy dom rzeczywisty obróci się w imię z popiołu. Wówczas nawet bardziej. I nic w tym nie ma z wolterowskiego *mais il faut cultiver notre jardin*, bo sam Pan Bóg, gdyby był Polakiem, nie stwarzałby świata i ludzi, lecz wybudował sobie dom.

Jest w tym jakaś trudna do pojęcia konieczność. Bo nie krąg wartości, nie wyznająca jej grupa, nie pejzaż, nie mniejsza ojczyzna stanowi ośrodek narodowej mitologii. To dom transfiguruje przypadkową rzeczywistość w rzeczywistość idealną. Stanowi podstawę systemu językowego, jest warunkiem porozumienia. Gnoma Staffa kończąca się słowami „teraz zacznę od dymu z komina” nie ma w sobie nic z ironii; trzeba być wędrowcem, umierać z łaknienia i głodu, by w dymie dostrzec zbawczy znak. Płonący ogień jest zaczątkiem domu.

A raczej: może być zaczątkiem domu. Tylko trzeba powiedzieć sobie wówczas: gdzie jestem ja, tam środek świata. Trzeba powtarzać „ja” w poniedziałek, wtorek, środę i przez resztę tygodnia. Zostać wygnańcem, wędrować, pojąć lekcję ognia. Charakterowi narodowemu, fatalnej sile mickiewiczowskiego języka, przeciwstawić charakter.

Witold podejmuje nieustanne próby zadomowienia. Stara się wejść do domu; ale panienska, która szerokie plecy miała w tyłku, „do domu nie zapraszała bo to była chałupa stara i wałaca się” Usiłuje zostać domownikiem: „to i ja czując się dzieckiem s w e j matki nazywałem «mamusią» (przecież nie jest to j e g o matka). Nawet sypia w domu, gdy inni idą na siano.

A mimo to - choć tak się stara, choć jest murarzem – pozostaje b e z d o m n y. Nie tylko dlatego, że szewc bez butów chodzi a zarobionych na szmuglu i bimbrze pieniędzy nikt w okolicy nie wydaje na budowę domu; jeśli słyszymy o jakichś budowach, będą to chlew i piwnica. Taka widać moda.

Pępek świata, środek Europy

Gdyby połączyć prostymi liniami najbardziej wysunięte krańce Europy, linie te przecięłyby się na rynku w Suchowoli. Tak przynajmniej twierdzą jej mieszkańcy, a za nimi od czasu do czasu rewelację tę powtarza prasa; jeśli jeszcze nie stoi tam obelisk upamiętniający ów geograficzny fenomen, na pewno wkrótce stanie. Prowincjonalna miejscina, w czasie Rzeczypospolitej Obojga Narodów należąca do Wielkiego Księstwa Litewskiego, krótkotrwałą świetność zawdzięcza podskarbiemu nadwornemu litewskiemu Antoniemu Tyzenhauzowi i jego manufakturom. W 1807 r. razem z obwodem białostockim została włączona bezpośrednio do Rosji i wiodła przykładowy i senny żywot na krańcach imperium. Próbę ożywienia tych nieciekawych pagórków i lasków podjął jeszcze raz Karol Brzostowski w leżącym poza wyznaczającą granicę Biebrzą Sztabinie; znosi pańszczyznę, tworzy republikę sztabińską, zakłada fabrykę wyrobów żelaznych zaopatrującą budowniczych Kanału Augustowskiego. Tu natomiast, w Suchowoli, mówiono pewnie: „Mazury, co za rekoju, na Polszy, śmiejućsa z naszych ludzie), co chodziać w kozuchu i świaci i nazywajut nas Rusinami, Kapuśniakami, ale jeny sami nie lepszyje, bo na nich nie zobaczysz innoho adzienia jak kupczo, a swaho nie wyrablajut, bo ich kobiety hultajki.”

Wstręt do gospodarki rynkowej musiał być głęboko zakorzeniony w podświadomości; jego świadectwo znajdujemy w pamiętniku Witolda: „Ludzie obecnych wiosek... o konie nie dbają tylko o ubiór. Więc wszystkie mleko masło i sery wywożą na rynek do Grodna, które jest o 5 kilometrów. W nędzy żyją, ale ładnie chodzą.” Stąd tylko krok do stwierdzenia, że ich kobiety hultajki. I rzeczywiście: „Wóz jaki spotkasz po drodze to o gnojówkach i pęczek słomy. Kiedy jadą na targ to się widzi małego konia zaprzęzonego po rusku; mężczyzna jako furman kłęczy na przodzie wozu a kobieta z tabołami pełnymi masła, serów i mleka siedzi siadem tureckim.”

Znana Witoldowi gospodarka opierała się w znacznej mierze na wymianie naturalnej i swoistej chłopskiej autarkii. Pieniądze potrzebne były po to, aby kupić nowe szory u rymarza, zapłacić za gręplarnię czy wytłoczenie oleju na omastę z lnu na czas długiego wielkiego postu. Wówczas nie wolno było nawet pić mleka. Wielkie jego kadzie stały w komorze i marnowały się, do Grodna było trochę więcej niż 5 kilometrów, a do Suchowoli drabiniastym wozem, który zdobyły wiklinowe półkoszki, jeździło się raczej do kościoła niż na targ. Targ pełnił bardziej funkcję towarzyską niż handlową, a przy okazji w żydowskich sklepikach kupowało się mydło i powidło.

Musiało być tych sklepików sporo, przed wojną dużo było w Suchowoli Żydów. Dziś po pięknej drewnianej synagodze – jej zdjęcie obejrzeć można w *Dziejach obyczajów w dawnej Polsce* Bystronia – nie ma śladu; kto wie, gdzie były „żydowskie mogiłki”? Niekiedy myślę, że najbardziej rachityczna sosna czy stojący samotnie w polu jałowiec, przybierający kształt

drzewa śmierci – cyprysu, są trwalsze niż ludzka pamięć... I tylko one pozostają jak pomniki bezdomnych i wydziedziczonych, którzy nie mają nic albo niewiele. Bo nie duma jest ich ostatnią bronią; duma też, ale przede wszystkim głupota wznoszenia przedziałów. Wynaturzona frazeologia „obcości” pada na podatny grunt, gdy świat postrzega się w kategoriach tego, co tutejsze, za Biebrzą są Mazurzy, a koło Karolina zaprzęgają konia po rusku. Czy zresztą mogło być inaczej w dobie tryumfów *Małego Dziennika* i absurdałnej polityki cenowej, za sprawą której żywność była praktycznie za darmo? Mimo to chciałbym wiedzieć, czy, gdy wywożono większą część Suchowoli do Kiełbasina pod Grodnem (i dopiero teraz zrozumiałem dlaczego, gdy coś zbroiłem, babcia straszyla mnie: „przerobią cię na kiełbasy”) – czy wozy miały drabiny, czy gnojówki? Czy konie były zaprzężone po rusku, czy jakoś inaczej? Były to dyszle, hołoble, szory, chomąta? Czy rzucił kto pęczek słomy i czy kobiety siedziały siadem tureckim? To głupota, ale chciałbym wiedzieć.

Fragmentaryczny tekst *Pamiętnych dni* przeszłości przytoczyłem nie od początku. To pominięcie wyniknęło z mojej pisarskiej strategii, mojej z kolei gry z czasem. Pamiętnik zresztą początku nie ma – to *liber acephalus*. Ale teraz nastał moment, by uzupełnić go o brakujący – jedyny – epizod. Poprzedza on to wszystko, co zostało wydrukowane:

Romanówka i Haliki są to wsie podłeśne gdzie najwięcej ukrywało się złodziejów z czasów przedwojennych. Tu przypadło stawić mi chlew murowany u niejakiego Reuta. Z braków robotników pojechałem do Olszanki po J. Waškiela karłowatego mężczyznę lecz zdrowego, co go potem nazwano wedle jego talentu „Kiepurą”.

Ucieszył się chłopak, kiedy zaproponowałem mu pracę zarobkową. Ucieszony zaprowadził mnie do panny niejakiej Baronówny na kolonji. Chciałem ją zobaczyć choć nieznałem ale kolega mój Kazik kiedyś ją odwiedził i mu bardzo się spodobała. Dotego kiedyś widziałem w Majewie dwie ładne panienki o okrągłych twarzach z rumieńcami i przystojnych. Jak się przedstawiało z jego ust to jedna z nich musiała być tą Baronówną. Kiedy wszedliśmy do domu i zaglądnętem jej w oczy, nie była podobną do wyżej wspomnianych i nieznaną aż dotąd panienek. Co prawda gadaliśmy z nią do zachodu słońca. Jej łamana polszczyzna zirytowała mnie zupełnie – ale obiecałem ją odwiedzić w najbliższą niedzielę.

Jak się upodobała robota mojemu przybyszowi tak potem stracił chęć do pracy czego mi nie wyznał. Wesoło spędziliśmy ten czas przy pracy porą letnią. Tu mieścił się sklepik w samym domu Reuta, dużo przy okazji ludzi nas odwiedzało. Zdrowy i głośny głos śpiewu „Kiepóry” gromadził wkoło nas młodzież każdego wieczoru. Sam gospodarz zachwycał się mówiąc: „jak w patefenie”. Śpiewem zdobyliśmy sympatię nawet z sąsiednich wiosek panny przyjeżdżały rowerami prosząc o śpiew. Wtedy to siadaliśmy na murze, i z prośby córki gospodarza niektórym zaśpiewaliśmy parę strofek jakiej piosenki. Czas płynął wesoło!

Nie zapomniałem odwiedzić i owej o której wspomniałem. Pojechalśmy jednym rowerem do Olszanki. Nigdy nie lubiałem się bawić z kapeluszem a tu przypadło mi w udziale. Przed kilku godzi-nami zachodu słońca byliśmy na kolonji Baranów. Ojciec Baronówny pasąc krowy na pastwisku, kiedy zauważył jegomością w kapeluszu, zostawił krowy i dyrdał zobaczyć co to za pan?! Z pewnością krowy poszły w zboże. Panna Baronówna spotkała nas z matką na progu. Wielkie zadowolenie widząc „pana” przed sobą nie wiedziała co się z nią dzieje. Wciągnęły rower i prosiły do mieszkania. Wchodząc do mieszkania zrobiłem kawal: położyłem kapelusz na długiej ławie, która stała przy ścianie, podniosłem go drugi raz i zdmuchnełem proch z ławy kładąc kapelusz z powrotem. A moja sympatja czem prędzej bierze go i kładzie na stole. – Dużo śmy potem z tego uśmieli. Co gorsze do tego, kiedy wieczorem siedziałem z nią w obecności rodziny, dostałem paczkę tureckiego tytoniu i zapalając papierosa spytałem ją, czy kto pali w domu? A moja towarzyszka odpowiedziała łamaną polszczyzną: – Bracia nie palą, tylko ojciec kura. Z tych stów mało nam brzuchy nie popękali, tyle śmy się uśmieli. A ojciec nakładszy surowen do fajki puszczał duże kłęby dymu.

Nie skończyło się na tem. Obiecałem jej spotkanie w Suchowoli na jakąś uroczystość, która w tym czasie przypadała. Napewno z tęsknotą wyglądała pana w Suchowoli, ale już kapelusza nie miałem, byłem z fryzurą na głowie. Widziałem ją na spacerze w towarzystwie panien, suchą i kościstą. Przechodziła około mnie – sam stałem na żydowskich schodach z kolegami ale nie zwracając na nią najmniejszej uwagi patrzyłem przelotnie w dal, jak by jej nie widząc. Przymaszerowała.

Nas dwóch i dwie swoich panienek zagładaliśmy do restauracji, która się mieściła w pięknym domu przy kościele. Nie była to restauracja żydowska, lecz polska. Po zagłuszeniu żołądkowym opuściliśmy restaurację i wyszliśmy naprzeciw kościoła gdzie napotkałem tą suchą kościstą która zapewne chciała ze mną się spotkać bo tak mocno zagładała mi w oczy. Ale jakby nie widząc chwyciłem pod rękę L. Hołowiankę która niedawno powróciła z Warszawy więc dość przystojnie wyglądała. Idąc pod rękę powiedziałem: – Panno Lodziu teraz w tej chwili gramy rolę parę zakochaną... – Ato czemu? – zapytała. – Za nami ktoś idzie kto się chce spotkać ze mną

W tej chwili dał się słyszeć duży krzyk i parę karabinowych szczałów. Wszystko to było w stronie posterunku. Rzuciłem partnerkę i w towarzystwie kolegów, których napotkałem po drodze biegłem na miejsce strzałów. Tu tłum zgromadzonych ludzi nie pozwolił mi widzieć sceny jaka przedstawiała się przed posterunkiem. Fale narodu kołysały się to w jedną to w drugą stronę. Jeszcze kilka szczałów ze strony policji a potem bąbardowanie kamieniami mieszkań żydowskich po wszystkich ulicach miasta Suchowola. Owa zagatka, wszczętego buntu, do dziś dnia nie została mi wyświetloną bo się nie bawiłem w rzeczy polityczne. Od owej uroczystości więcej w swym życiu nie spotykałem panny Baronówny ani też ją odwiedzałem. Zostały w pamięci tylko jej słowa: „Bracia nie palą, tylko ojciec kura”.

Olszankę odwiedzałem kilka razy bo zapoznałem tam ładniejszą panienkę niejaką Scholę Gołkówną która sympatyzowała ze mną czas krótki. Nastąpiło to z powodu wyjścia za mąż. A ja o rękę żadnej się nie starałem z powodu mi znanych. Jeszcze raz za czasów niemieckich odwiedziłem Olszankę a powód nastąpił w ten sposób: Siedząc z kolegami na skraju swej wsi, wieczorem słuchając w ciszy nocy grających dział frontu zbliżającego coraz bliżej, usłyszeliśmy turkot jakiej fury. Jechał to chłopak z naszej wsi który wiozł dwie młodych dziewcząt i chłopaka lat 16-tu. Owe towarzystwo wracało z Grodna z pracy przymusowej na urlop. Okazało się iż byli ze znanej wsi Olszanki również jedna z nich była Baronówna tylko drugich Baranów ze wsi i Najdówna. Chłopaka nie pamiętam.

Prosiły o nocleg bo dystans drogi na noc był za daleki a pozatem byli przemęczeni. Więc zaproponowałem im swoje mieszkanie z czego niezmiernie się ucieszyły. Wprowadzając do mieszkania kazałem siostrze dać kolację, odstąpiłem pannom swoje łóżko, a chłopaka z kolegą zabraliśmy ze sobą do stodoły. Czas był ciepły więc nawet przyjemniej było zasnąć na dworze niżeli w mieszkaniu.

Rano panny obudziły mnie, dziękowały uprzejmie i przy okazji zapraszały do siebie. Nie omieszkałem ich prośby i w wolnej demokratycznej Polsce odwiedziłem jedną z nich, gdzie spędziłem całą noc ale z młodszą siostrą Baronównej. A kolega który kiedyś razem ze mną spotykał owe damy poszedł do drugiej koleżanki, która jak wynikało ze słów ludzi, jego nie poznała pod żadnym pozorem i wyparła się tego, że ona nigdy nie była na noclegu w Suchodolinie.

Nie wszyscy są ludzie jednakowi: jedni pamiętają dobre uczynki zrobione przez ludzi obcych i potem ich nadgrodzą, a inni zapominają i się wyrzekają. Tak samo i tutaj: jedni poznali i gościnnie przyjęli a drudzy się wyrzekli.

Tak, jesteśmy w Europie, w samym jej środku. Sława Kiepuru dotarła i tu, ojciec Baronówny porzuca krowy i biegnie zobaczyć, co to za pan przyjechał w kapeluszu, panna Lodzia wróciła właśnie z Warszawy i dość przystojnie wygląda, i jak prawie wszędzie urządza się

pogromy. Potem będzie wojna i „białostockaja obłast”, potem przyjdą witani kwiatami Niemcy, wreszcie nastanie „demokratyczna” (podoba mi się to nieświadome przepisanie) Polska. A w pamięci zostają słowa: „Bracia nie palą, tylko ojciec kura”.

Pamięć ludzka jest zawodna – skarży się młody kogut. I wybiórcza: Witold jest do szpiku kości cywilem. Zresztą mówi to sam: „nie bawiłem się w rzeczy polityczne”. Dzięki temu kilka koszmarnych lat zmienia się w uroczą opowieść, która ma nawet swoją pointę: młodszą baronównę na całutką noc.

Dziś w tej narracji skłonni bylibyśmy widzieć pogłos Białoszewskiego, choć to Witold był wcześniej. Ale ileż trzeba było walk, ileż jałowych dyskusji, by „polska proza cywilna” znalazła należne miejsce w literackiej świadomości. Choć, dawno temu, tak samo postępowali w czas pomoru bohaterowie Boccaccia.

Okopy

Pozostańmy jeszcze przez chwilę przy pamięci.

„Zwykle ludzie sobie opowiadają, jak to było dawniej, i słusznie, gdyż człowiek ma w sobie wrodzoną ciekawość i nieraz chciałby wiedzieć, kiedy powstała jego rodzinna wieś, czy osada, dlaczego ma taką a nie inną nazwę lub jaka była tej miejscowości przeszłość.

Czasem w tych opowiadaniach jest i coś prawdziwego z przeszłości. Ale ponieważ takie ustne podanie, przekazywane przez kilka pokoleń, czasem w ciągu kilku wieków, ulega zmianom, więc trudno jest odróżnić, co w niem jest prawdą a co fałszem.

Większość ludzi sięga w przeszłość najdalej do tego czasu, który pamiętał i opowiadał dziadek, a czego dziadek nie pamiętał, to widocznie i nie istniało na świecie i już tylko «Duch Boży unosił się nad wodami». Tymczasem, gdy się cofniemy wstecz o dwa, trzy wieki, to widzimy, że w tych miejscowościach, gdzie my żyjemy, żyli nasi pradziadowie, a nawet i tam, gdzie dzisiaj życie zamarło, przedtem płynęło wartkim prądem, czego mamy dowody na naszych polach, że kiedyś były one orane i uprawiane, ale już dawno tego nikt nie pamięta.

Stosunkowo często czytamy o przeszłości jakiegoś większego miasta, ale historii swojej wsi prawie że nikt nie wie; dotąd ta niwa leży odłogiem.”

Słowa te pochodzą z niewielkiej książeczki wydanej w 1929 roku. Oto jej karta tytułowa: Maciej Gudel, *Kościół parafii chodorowsko-suchowolskiej. Zarys monograficzny*. Wieś Pokosna, poczta Suchowola pow. sokólskiego. Nakładem autora. Druk. Oleńskiego i Rečki w Grodnie. 1929. Ponieważ kościół odgrywa ważną rolę we wspomnieniach Witolda, ponieważ kościół góruje nad Suchowolą, warto przytoczyć parę stron z książeczki wydanej własnym sumptem przez – dzisiaj powiedzielibyśmy – maniaka. Wzruszająca to mania. Maciej Gudel miał rację: **n a w e t i t a m , g d z i e d z i s i a j ż y c i e z a m a r ł o , p r z e d t e m p ł y n ę ł o w a r t k i m p r ą d e m .**

Z powyższego widzimy, że kościół w Suchowoli był wybudowany za czasów Rządu Polskiego, ale Rząd Polski nie zdążył go wyposażyć we wszystkie potrzeby; nie było plebanji ani żadnego budynku kościelnego, nawet zagona ogrodu, a i kościół nie miał wewnątrz żadnego urządzenia.

Na kraj spadały nieszczęścia jedno po drugim i, jak wiadomo, po przegranej wojnie 1794 r., nastąpił rozbiór Polski i zostaliśmy pod rządem Pruskim.

Rząd Pruski, bez względu na wszystko, nakazał przenieść nabożeństwo do Suchowoli i tam właśnie majątek kościelny, poniekąd, podzielił między dwa kościoły, ponieważ w Chodorówce został ks. proboszcz, a w Suchowoli ks. wikary.

Po przeniesieniu nabożeństwa do Suchowoli przenieśli się i ubodzy szpitalni do Suchowoli, gdzie niejaka Kamińska, uboga wdowa, wstępując do szpitala, swój stary dom ofiarowała, w którym dłuższy czas mieszkała.

Prawdopodobnie z tego czasu pochodzi nie bardzo pochlebne dla parafji Suchowolskiej przysłowie:

Organista z Suchowoli

Sprzedził żonę, kupił soli.

Ma to rzekomo oznaczać, że organista nie miał środków utrzymania, a może to tylko bezpodstawny dowcip, gdyż w inwentarzu o uposażeniu organisty widzimy: że organista miał włókę gruntu plebańskiego pod Suchowolą i 70 zł. pensji; że organista, niejaki Strzałkowski, miał własne budynki na placach miejskich w Suchowoli. Nie miał więc, chyba, koniecznej potrzeby do zamiany żony na sól.

Nadmienić też należy, że nasza parafja z dawnych czasów należała do djecezji Wileńskiej; po rozbiorze zaś Polski rząd Pruski nie zgodził się na to, by jego poddani katolicy zależni byli od Biskupa

Wileńskiego, który był pod zaborem rosyjskim. Toteż rząd pruski kazał założyć katedrę biskupią, może w porozumieniu z Papieżem, w Wigrach (osada w pow. Augustowskim) i pierwszym biskupem wigierskim został znakomity ówczesny kaznodzieja dr. teologii ks. Michał Karpowicz, on właśnie w 1798 r. dokonał konsekracji, a może tylko benedykcji kościoła Suchowolskiego.

W inwentarzu nadmienia się, że obrazu cudownego kościół Suchowolski nie posiada, wśród ludu tutejszego trwa jednak dotąd piękna legenda, że obraz M.B. po przeniesieniu do kościoła Suchowolskiego kilkakrotnie wracał do kościoła Chodorowskiego. Obraz ten jest w wielkim ołtarzu w kościele Suchowolskim; w jakim czasie był sprowadzony do Chodorówki i kiedy był wymalowany, mógłby coś pewniejszego o tym powiedzieć – artysta malarz.

Pierwszy drewniany kościół Suchowolski stał około 90 lat, a że z biegiem czasu chylił się ku ruinie, przy tem dla tak licznej parafji był i za mały, parafjanie ze swymi pasterzami postanowili wznieść nowy, murowany kościół, którego budowę starsi parafjanie dobrze pamiętają, gdyż nie brakło rozmaitych przeszkód tak ze strony rządu, jak z powodu powstałych zatargów wewnątrz parafji.

Gdy probostwo w Suchowoli objął ś.p. ks. Władysław Kulesza, a tem samem i kierownictwo nad budową kościoła, – robota posuwała się w szybkim tempie i w roku 1885 wykończono okazały, w stylu odrodzenia, kościół. Tegoż roku na jesieni przeniesiono nabożeństwo do nowego kościoła, a stary natychmiast rozebrano, z którego następnie wybudowano dom kościelny (obecnie wikarjat i szpital).

Otoczony kamiennym murem, stojący wśród starych drzew kościół ten przytłacza dziś Suchowolę. Jego cień pada na całą Polskę. Bo tu, w odległych o cztery kilometry Okopach, w niewielkiej wiosce obok porośniętym lasiem kurhanów, urodził się ksiądz Jerzy; w kościele tym został ochrzczony, tu odprawił mszę prymicyjną.

Ksiądz Jerzy

dzieckiem

mówił tylko po prostemu

to znaczy po białorusku

szeleszczącą mową

tych pól, zagajników, pastwisk,

Dopiero później

polszczyzna
ogarnęła go silnym ramieniem
weszła w niego
przemówiła nim
do Boga i ludzi

W powodzi hagiograficznych wierszy (Jak gdyby rzeczywistą tragedię musiała rozmyć tragedia inna – rymowanek) ten wiersz Wiktora Woroszyńskiego wyróżnia się: porusza problem d y s t a n s u , kiedy inne okolicznościowe utwory o dystansie zapominają. To dystans między językiem a językiem, odległość dzieląca szeleszczącą mowę pól, zagajników i pastwisk od silnego ramienia polszczyzny. A przez to również dystans między bezpośredniością przeżycia a wyrazem. Między mową świata a światem mowy. Zbyt łatwo zdaje się zapominać, że najwspanialsze dzieła naszej literatury, jej dwukrotną kodyfikację przez Kochanowskiego i Mickiewicza, zawdzięczamy tym, którzy wyrosli w środowisku różnojęzycznym (pytanie tylko pozornie od rzeczy: dlaczego Dante w *De Vulgari Eloquentia* broni praw dialektu, w którym napisze później Boską komedię, za pomocą łaciny?), że jesteśmy spadkobiercami tych, dla których polszczyzna nigdy nie była językiem pierwszym bądź jedynym (pytanie tylko pozornie retoryczne: dlaczego wyrosły wśród białoruskiego żywiołu przyjaciel Czczota napisał „Litwo, Ojczyzno moja” po polsku?) W swojej językowej kodyfikacji Kochanowski spełnia romantyczną misję, Mickiewicz odgrywa rolę klasyka. Niedobrze jest, gdy ramię staje się zbyt silne, mowa z natury rzeczy jest wielojęzyczna.

Stanać należy w dystansie. Między szeleszczącą mową pól, zagajników i pastwisk a silnym ramieniem polszczyzny. Między bezpośredniością przeżycia a sztucznym – martwym zatem – wyrazem. Między mową świata a światem mowy. Wówczas dopiero można spełniać misję (jak ksiądz Jerzy) i odgrywać rolę (jak Witold).

Bo Witold odgrywa rolę. Polszczyzna jest tu – to nic, że jedyną dostępną mu – językową maską. S t a r a s i ę m ó w i ć p o p o l s k u , ale maska nie zawsze pasuje do twarzy. Zmienia się w absurdalny, leżący na stole kapelusz. „Wchodząc do mieszkania zrobiłem kawal: położyłem kapelusz na długiej ławie, która stała przy ścianie, podniosłem go drugi raz i zdmuchnełem proch z ławy kładąc kapelusz z powrotem. A moja sympatja czem prędzej bierze go i kładzie na stole.” Odwróćmy ten kapelusz – królik z niego nie wyskoczy, ale sprawdzimy markę kapelusza.

Wyobrażam sobie dwa domy. Do pierwszego wchodzi się obok krzyża pokutnego, później długą aleją, po obu stronach bery, malinówki, kosztele, kronselki, brzęczą pszczoły i wisi w powietrzu cierpka woń porzeczek. Weranda jest z drugiej strony, wystarczy przejść przez komorę, na szlabanie siedzi Maciej Gudel (żył jeszcze?), wyciąga kapciuch, k u r a . Białe włosy opadają na czoło, pod poźółkłymi od samosiejki wąsami poruszają się jak przesuwane ziarna różańca wargi, machinalnie przekłada stos niesprzedanych książeczek o kościołach parafii suchowolsko-chodorowskiej, wzbija się kurz. Dalej jest weranda, potem zarosły jałowcem smug, krowy weszły w szkodę, biegnie wymachując kapeluszem baron i krzyczy, że panna Lodzia wróciła z Warszawy i dość przystojnie wygląda, ale my już przeszliśmy pod żerdkami obok pożeranego przez sitowie ługu, skąd od czasu do czasu, jak s z c z a ł , zerwie się kaczką, nareszcie można się odlać, kobiety nie widzą, łuk moczu pod słońce rysuje nowe przymierze i oto drugi dom. Muszą być bzy, dużo bżów, panna Zosia bez okno podaje świeże truskawki, rozebrany do pasa, spodnie przewiązał wiarówką, Witold – choć „w rzeczy samej ta robota do niego nie należała” – kopie fundamenty. A przecież dzielą te domy nieprzebyte okopy.

Bruk, druk

Ta ziemia rodzi kamienie. Przez tę ziemię przeszedł niejeden lodowiec.

Kamienie zbiera się z pól. Potem układa w krusznie i w bruk. Krusznie rosną na polach. Nad kruszniami górują dziczki. Pewnie wysrał się tu obżarty jabłkami włóczęga albo przysiadł w przelocie szpak. Bruk oddziela pole od wypustu, gdzie pasą się krowy. W bruku można schować broń. Naboje są różowe jak niemowlak. Kiedy w 51 wróci się z Wronek, proch płonie jasnoniebieskim płomieniem. Potem w łusce osadzi się osełkę albo zrobi pałąk do kosy.

Pisany w 1946 roku pamiętnik ani słowem nie wspomina o bruku. Wata, którą trzeba zakładać do uszu po przesłuchaniach z ołówkiem u pani prokurator, istniała wcześniej. Między słowem pisany a słowem mówionym, między drukiem a brukiem rozpościera się szeleszcząca mowa tych pól, zagajników, pastwisk.

Sad, sąd

Witold mógł kupić książeczkę Macieja Gudela na jarmarku pod kościołem w Suchowoli. Pośród straganów z wzorzystymi chustami i tęczowymi koralikami stał pewnie chłopak, parobek jakiś, daremnie wyglądając klientów. Bo ci, jeśli kupowali, kupowali inne książki. Inne też książki czytywał Witold.

„Jesień 1938 roku przypadła nienajgorsza...”, pisze. Istotnie, co tu dużo mówić, jesienią 1938 roku zastajemy go w sytuacji niemal archetypowej. Na codzienne doświadczenie nakłada się mit. Jest to opowieść o niewinności i wtajemniczeniu, o ciekawości, grzechu płci i upadku.

„Siedziałem w sadzie dnie i noce pilnując owoców przed rabusiami. Dniem czytałem książki, które otrzymywałem od naszego kierownika szkoły B. Domańskiego, a nocą przybyłym chłopakom opowiadałem różne baśnie, anegdotki, opowieści, co ich więcej mnie do siebie ściągnęło. Zaczęli przychodzić każdą noc na pogawętki, co mnie uprzejmowało czas. W pewno niedzielę rozgadałem się z jedną młodą mężatką, która mnie w dwa tygodnie pociągnęła za sobą tak że musiałem ją odwiedzać codziennie... Zacznę od książek które otrzymywałem od p. D. w Suchodolinie. Miał on żonę również nauczycielkę, która napierwszy rzut oka spodobała mi się ale czy mogłem myśleć o jakiejś miłości? Tylko myślałem sobie na krótką chwilę ta by mi się przydała, pomimo że jest czyjaś żoną. Jednak te myśli odpędzałem od siebie a w odwiedzinach tylko byłem grzeczny. Ale moja grzeczność wzrastała do niej każdy dzień czego i sam nie zauważyłem. Jedno, że byłem obojętny i fruwałem sobie jak motyl z kwiatka na kwiatek, tak ja bawiłem się między innymi kobietami wśród różnych wiosen.”

Role zostały wyznaczone dawno, różna może być tylko obsada; mityczna struktura realizuje się z koniecznością, obojętna na los indywidualów, które rozmieszcza jak litery na białym całuniecie stronicy. Jednostka nie ma tu nic do powiedzenia, choć może zostać przeczytana. Struktura mityczna jest bowiem retroaktywna – a b y s p e ł n i ł o s i ę t o , c o z o s t a ł o n a p i s a n e .

Był sad – a zatem jest sad. I zakaz: owoców trzeba strzec przed zerwaniem, pora, aby pod jabłonią zjawił się strażnik. Ten nie ma miecza ognistego w dłoni, trzyma książkę. I w niej wyczytuje swój los, bo przeczytawszy rzecz do końca nie musi zrywać owocu z drzewa wiadomości dobrego i złego. Jak błądzący pośród donżonów i mgieł Elsynoru Hamlet, jak pochłaniający w La Manczy rycerskie romanse Don Kichot; w narracji Witolda fascynujące jest to, że nieświadomie realizuje ona wielkie mityczne struktury europejskiej cywilizacji. Rządzi nią nie przypadek, lecz konieczność symboliczna. A w tej przestrzeni logocentryzmu, wobec której – powstając przeciw martwej literze i żądając żywego głosu mistrza, ale zarazem projektując pierwsze obozy koncentracyjne, niwelujące wszelkie różnice – buntował się Platon,

uwiedzenie dokonuje się przez pismo. Pismo martwe, dalekie i obce – zamienia się w głos, zostaje zinterioryzowane, wpisane na konto rodzącej się świadomości, samoświadomości, podmiotu. Podmiotu, który wyraża siebie. Podmiotu, który sądzi, że wyraża siebie. Bo – wydaje się jest on niczym czysta tablica, *tabula rasa*. Ale na tej tablicy – czyż Platon nie mówił, że wszelkie poznanie jest przypominaniem? – może zostać napisane to tylko, co m o ż e z o s t a ć n a p i s a n e, to znaczy to, co da się przeczytać. Popatrzmy: Witold postawiony po to, aby chronił wstępu do ogrodu, robi coś dokładnie przeciwnego. Nie odpędza chłopaków, łasych na owoce z plebańskiego sadu, lecz zewsząd ściąga ich ku sobie; ze strażnika zmienia się w uwodziciela. Choć osobliwy to uwodziciel: dzięki temu, że i m opowiada bajki, zaczyna rozumieć s i e b i e. Pisze: „...co i c h więcej m n i e d o s i e b i e ściągnęło”. Czy to tylko przepisanie? Nie sądzę, zbyt wiele tu przepisania, machinalnych pomyłek, by nie dostrzegać w pozornym bezsensie sensu. Witold, choć i m o Gryzeldzie opowiada, sam siebie uwodzi, m n i e d o s i e b i e ściąga, godzi m n i e z s o b ą, j a osiągam zatem s a m o-świadomość, a o n i są bajką. A tym samym o n, Witold, symbolicznie zamyka granice sadu. Spełnia s i ę t o, c o zostało napisane: z rajskiego ogrodu niewinności wychodzi świadomy siebie, skazany na ból i cierpienie człowiek.

To uwiedzenie przez literaturę. W wielorakim sensie. Przede wszystkim dlatego, że porządek inicjacji czytelniczych przeplata się tu i pokrywa z porządkiem inicjacji seksualnych. „Zacznę od książek” – zaczyna Witold, ale już w następnym zdaniu, jak gdyby nie istniał rozdział między słowem a ciałem, księgami a przyrodzeniem, mówi o żonie nauczyciela. Choć jeszcze słowa doświadcza („co mnie uprzejmowało czas”) a kobietę czyta („napierwszy rzut oka spodobała mi się”). Ta niewinność – bo przecież jest to tak niewinne jak spędzone na gadaniu noce – musi spłodzić wstyd i rozdział ten zostanie napisany. Wówczas Witold jak motyl będzie fruwał z kwiatka na kwiatek, wówczas za Mickiewiczowskim Gustawem powie:

Starcze! a gdy ja zacznę oskarżać nawzajem,
Przeklinać twe nauki, na sam widok zgrzytać?
Ty mnie zabiłeś! – ty mnie nauczyłeś czytać!
W pięknych księgach i pięknym przyrodzeniu czytać!
Ty dla mnie ziemię piekłem zrobiłeś i rajem!
A to jest tylko ziemia!

Jak to brzmi w ustach Witolda?: – „Kiedyś Zosia była się wyraziła przed siostrą Mietką Stacha: że «mi byłoby dosyć Witka, innego by nie chciała». Ale czy Witek spoglądał na takie Zosie? W myślach jego śniły się królowny.”

A śniły się dlatego, że literatura, która była poprzednio pożądanym, możliwym do zawłaszczenia obiektem, teraz, gdy jabłko zostało zerwane, zmienia swój status: staje się polem gry. Witold, który dotąd nie widział nic, teraz widzi, że inni nie widzą. Umieszcza się na równi z literaturą, zaczyna przeżywać swoje życie w sposób literacki. To Gustaw, który nie gałąź jedliny ciąga za sobą, ale bezużyteczny rower i pół litra w kieszeni. „Jedno, że byłem obojętny i fruwałem sobie jak motyl z kwiatka na kwiatek...” Byłem obojętny, to znaczy: byłem martwy. Byłem upiorem. „Ty mnie zabiłeś! – ty mnie nauczyłeś czytać!”

Wreszcie nadejdzie etap trzeci. Wówczas Witold zasiądzie, żeby opisać pamiętne dni przeszłości. I będzie je zapisywał – już niejako śliniący się na sam widok jabłka wyrostek ani wyrysowujący pismo pożądanego motyla, ale jako ktoś, kto wie, że jedyną nieśmiertelność – a ułomna to nieśmiertelność, bezcielesna, rozległa otchłań pamięci-niepamięci; bo przecież dzięki mnie tylko Maciej Gudel siedzi teraz na szlabanie, Zosia podaje przez okno świeże truskawki, a on leży z chłopakami w sadzie i snuje się nić opowieści – że jedyną zatem nieśmiertelność zawdzięczamy słowu. Jak zetlałe sukne opadają realia, wymierają ostatni

świadkowie zdarzeń, rośnie trawa i kurz, a słowo – raz wypowiedziane, raz napisane – dalej trwa. Na początku było Słowo; koniec świata nastąpi, gdy cały świat przemieni się w literaturę.

Wówczas zatrzasną się wrota nieba. W olbrzymiej bibliotece pozostanie jedyny czytelnik. Minotaur. Mylił się Nietzsche; nie w tym, że Bóg umarł – skoro nigdy nie żył, nie mógł umrzeć, żyją jedynie ludzie, w tym ich niedoskonałość, ale też i wielkość: mylił się, bo za późno pomyślał o Ariadnie.

W tym sadzie stało się daleko więcej, niż skłonni byśmy byli przypuszczać. Choć wydawał się rajem, drzewa życia tam nie było. Płożące się dymy kartoflisk układały zwodnicze przejścia, zapach winnych jabłek zapraszał do labiryntu, gdzie w ostatniej komnacie czeka Zazdrosny Bóg. Aleksandra Olędzka-Frybesowa w książce *W głąb labiryntu* pisze: „Powolne posuwanie się, krok za krokiem, w pozycji stojącej, stanowi także coś gruntownie innego od oglądania, patrzenia na zarys labiryntu w książce, na filmie czy nawet w tejże samej gotyckiej katedrze. To różnica sytuacji widza i aktora-uczestnika. Przesunięcie z płaszczyzny abstrakcyjnego rysunku, wyobrażenia, na płaszczyznę konkretnego działania się. Dramatyczna metafora angażująca nie umysł, ale przede wszystkim mięśnie naszego ciała, zmysł wzroku i jego znużenie, i coś, co można by nazwać zmysłem kierunku, wyobraźnią przestrzenną i poczuciem odległości.” I parę stron dalej dodaje: „Ale bywa i tak, że w środku labiryntu znajdowało się lustro, w którym człowiek, przewędrowawszy kręty szlak, oglądał własną twarz.”

Dlatego przynajmniej my go nie sądzmy, abyśmy nie byli sądzeni.

Wina, niewinność

Witold został uwiedziony przez literaturę. Niewinny, jak i on. Bo był niewinny: niczym Mickiewiczowska Zosia latał z kwiatka na kwiatek. To najgorszy rodzaj uwiedzenia: pół biedy jeszcze, gdy zabiera się do tego dwójka młodych idiotów – najwyżej Zosi czy Marysi urodzi się dziecko. Gorzej z uwodzeniem niewinnych przez niewinną literaturę – zwykle nie nowe życie z tego powstaje, lecz zagłada.

To się zaczęło dawno i nie chce się skończyć. To się zaczęło wówczas, gdy romantycy zatarli granicę między literaturą a rzeczywistością, między – jak powiadali – słowem a czynem. Epoka gwałtu przez uszy i papierowych mieczy. Epoka tekstualnych rewolucji i klęsk, które są moralnymi zwycięstwami. Epoka wyzywów ducha. Oto Wallenrod staje się Belwederem i wówczas paru studentów i literatów dokonuje symbolicznej zemsty na poduszce Wielkiego Księcia, raz za razem, bez końca dźgając ją bagnetem. Później ta scena będzie się powtarzała z zastanawiającą uporczywością, zmienne staną się tylko rekwizyty symbolizujące b r a m y r a j u. Od poduszki Wielkiego Księcia do umajonego ołtarza stoczniowej bramy wiedzie droga najprostsza z możliwych – jeśli pominąć to wszystko, co wiąże się z ciałem i grzechem. Grzechem ciała, które wątpi, dopomina się swych praw i szczerząc zęby, bezwstydnie bielejąc kośćmi na kolejnych pobojowiskach nie daje się umieścić w rubrykach „debet” i „credit”. Ciałem grzechu, grzechu pychy, który wcielił się w ciała niewinnych. (W gruncie rzeczy lubię tych chłopców, którzy nie przekroczyli jeszcze progu dzieciennego pokoju i daremnie czekają, aż mamusia przyjdzie pocałować ich na dobranoc. Ale nie ona będzie pierwsza – szybszy będzie bagnet i śmierć. Zresztą – czyż można nie ulegać urokom niewinności? Która posłuży za żer krukowi i wronom. Kompost dla rozmarynu. Kamienie na szaniec. Mięso dla wściekłych psów bezpieki. Kościec zwątpienia.)

Oni wszyscy – partyzanci, powstańcy, szaleńcy; dzieci... – zostali uwiedzeni przez literaturę. Ale czy ona odpowiada za ich śmierć? Ona jest przecież niewinna jak najpierwszy rumieniec kochanki. Zapach jabłek i siana. Pierwsza miesięczna krew i pierwsza nocna zmaza. Polska literatura jest głęboko niewinna – i w tym jej największa wina. Jak Witold – strzeże jabłek nie swojego ogrodu. Jak Witold – opowiada różne baśnie, anegdotki, powieści, choć czy to m n i e d o s i e b i e ściąga?

Tak, to się zaczęło dawno, kiedy Mickiewicz krzyczał z katedry Collège de France, aby ton w swoich słuchaczach pobudzić, Goszczyński pakował podróżny kuferek, zaś Słowackiemu zaczęło brakować oddechu. Pojawił się kryzys romantycznego języka, zwykle słowo przestało wystarczać, trzeba było czegoś więcej, skoro przeciw Polakom przysięgły się i ziemia, i niebo. Nie słowa już trzeba było, ale Słowa. Słowa, które nie tyle opisuje czy nazywa rzeczywistość, lecz – ponieważ istniejący świat jest z gruntu zły – kreuje rzeczywistość nową. Rewers realnie istniejącego świata; najdobitniej może to pragnienie romantyków wy-

raził Słowacki, pisząc do matki, że ten świat jest jak dywanik na wywrót widziany – z tej strony supły i bezładna płatanina nitek, po tamtej kwiaty i rysunek. Kiedy zatem nabrał przekonania, że wzór z drugiej strony przejrzał, musiał ujrzeć – i ujrzał; jakże to objawienie w nim rośnie... – twarz Jehowy; przecież święty Paweł obiecywał w hymnie o miłości: „...wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz”.

All Discord, Harmony not understood: all partial Evil, universal Good, twierdził niegdyś Aleksander Pope. Jeśli wiara w przedustawną harmonię świata nie padła podczas trzęsienia ziemi w Lizbonie, rozbiły ją w proch narodziny wieku dziewiętnastego, kiedy to chwiały się trony i – jak dawniej ludy – wędrowały granice. Bo wprowadzono nową ekonomię: już nie wystawiony na sprzedaż towar, ale sam plac targowy staje się przedmiotem przetargu. (Nie wiem, czy fakt, że nasze myślenie jest myśleniem o warunkach możliwości naszego myślenia, jest przyczyną czy skutkiem tego przesunięcia. Wiem, że to, co piszę, bezprawnie pasozytuje na możliwościach przez to przesunięcie otwartych...) Tym, których na owej licytacji sprzedano, pozostało jedno: przenieć świat. A ponieważ na tym świecie zbrodnia jest bezkarna i śmieje się w żywe oczy, w tamtym świecie będzie kara, choć nie znajdzie się miejsca na zbrodnię. Umierać – jak Chrystus – będą niewinni; jęki cierpiących, ścieranych na proch są najwspanialszą muzyką ducha, który, gdybyż jeszcze na białym koniu, wybrał się na globową przejażdżkę. Rzeczywistość została zlikwidowana.

„Rzeczywistość została zlikwidowana” – czytam to zdanie na 145 stronie wspaniałej książki Jarosława Marka Rymkiewicza o Juliuszu Słowackim, czytam to zdanie, które tylko mój ołówek wydobył ze zwartego bloku tekstu, czytam to zdanie, długo czytam i przyznaję, że przejmuje mnie strach. Bo wzrok mój dostrzega sąsiednią stronicę, strach zatem jeszcze wszystkiego nie pożarł, jeszcze sąsiednia stronica istnieje, rzeczywistość nie została zlikwidowana do końca, i tam, po cytacie z Towiańskiego, widzę apologię-przestrożę: „Ci, co wątpią, że to był Wielki Duch, niechże się zawstydzą. Gdyby nawet nie powiedział Polakom nic więcej, tym jednym zdaniem, tą koncepcją wspólnej ojczyzny żywych i zmarłych – zmarłych, co w duchu są żywi – zapewnił sobie wieczne miejsce wśród Wielkich Duchów naszego narodu. Duchów, które zespalają się z nami w tej chwili, w każdej chwili.” Mój strach narasta – bo może się zdarzyć i tak, że „wspólna ojczyzna żywych i umarłych” będzie braterstwem wampirów.

Niech to będzie powiedziane mocno, bo tak powiedziane być musi. To szaleńcza logika, bo szaleństwem jest chęć nicowania świata. To szaleńcza logika, bo szaleństwem jest zamiar likwidowania rzeczywistości w imię – choćby wypływającego z najszlachetniejszych pobudek – ideału. To szaleństwo – bo szaleństwo jest racjonalne, aczkolwiek posługuje się swą logiką niepoczytalności, *delire* (etymologicznie „delirium” znaczy niepoczytalność); rzeczywistość to współistnienie racjonalnego i irracjonalnego, gdzie nie wszystko musi, bo nie może, być motywowane.

Nie czepiam się Jarosława Marka Rymkiewicza, co więcej, uważam te stronice za najważniejsze pośród tych, jakie o fenomenie towianizmu napisano. „Brak w tym wszystkim konsekwencji, ale i jest jakaś konsekwencja: właśnie uczuciowa”. Właśnie. Uczuciowa. Czy kiedykolwiek ktoś się zastanawiał nad semiotyką uczucia? A byłoby się nad czym zastanawiać. Przecież wszystko zaczyna się od symptomów, oznak, jako że miłość to choroba, nawet na śmierć. One są jeszcze niesystemowe i mogą być włączone w różne systemy, mogą być zlekceważone. Choć zawierają w sobie wymóg systemowości: dopiero odczytane jako znaki, dopiero uzyskawszy status semiotyczny, mogą zostać potraktowane jako parole. Ale taka to mowa jednostkowa, która zarazem tworzy swoją langue, bo poza nią pozostaje niezrozumiała. Tworzy swoją langue w akcie mówienia. Słowo – w najszerszym znaczeniu, bo słowem jest drżenie kolan, napięcie w okolicy podbrzusza, cios bagnetu i kolumny duchów – zamyka się w sobie, wypowiada warunek własnego wypowiedzania; jest słowem i czymś więcej niż słowo – mówi to, co mówi i wypowiada niemą nadwyżkę, kod, dzięki któremu staje się zro-

zumiało. Ten system językowy, langue, może być, to prawda, złudzeniem czytelnika; ale uzyskuje prawomocność tylko dzięki temu, że czytelnik chce być oszukany. Bo, w ścisłym sensie, nic nie komunikuje, draży jedynie pustkę, której na imię samotność. Wewnątrz słowa następuje podwojenie – ale to podwojenie, to rozdwojenie na langue i parole jest zarazem błaganiem. Suplikacją, która jest skutkiem autoimplikacji.

Miłość jest zatem pokrewna współczesnemu rozumieniu szaleństwa i literatury, o którym tak pisze Michel Foucault w eseju *Szaleństwo, nieobecność dzieła*: „Szaleństwo pojawiło się niejako podstęp ukrytego znaczenia, ale cudowna r e z e r w a sensu. Należałoby rozumieć słowo «rezerwa» tak, jak na to zasługuje: to więcej niż zapas, bo chodzi tu o figurę powstrzymującą i zawieszającą sens, zagospodarowującą pustkę, gdzie pojawiła się dopiero niespełniona możliwość, że zajmie ją sens taki, inny, bądź jeszcze inny – i tak być może bez końca. Szaleństwo otwiera wakującą rezerwę, określającą i uwidoczniającą wklęsłość, gdzie język i mowa nawzajem się implikują, powstają dzięki sobie i mówią wyłącznie o swym niemych jeszcze związku. Od czasu Freuda zachodnie szaleństwo przestało być językiem, bo stało się językiem podwójnym (systemem językowym, który istnieje tylko w mowie, mową, która wypowiada tylko system językowy) – to znaczy matrycą języka, który – ściśle biorąc – nic nie mówi. Fałdem mówienia – nieobecnością dzieła.” To samo dotyczy – nie cytuję dalej tego pięknego tekstu, gdzie pokrewieństwo dwu zdań „piszę” i „jestem szalony” zyskuje niespodziewane oświetlenie – to samo dotyczy literatury.

Jedynie drastyczna, chirurgiczna interwencja – a każda spełniona miłość jest przecież utratą kolejnego dziewictwa – może przerwać błędne koło autoimplikacji. Przywraca bowiem zapomniany wymiar – ciała. To znaczy rzeczywistości. Ciało nie jest pewnie rzeczywistością – a przynajmniej rzeczywistością jedyną: ale *perpetuum mobile* miłości (szaleństwa, literatury) zmusza, by za takie je uważać.

Oni wszyscy – czytamy ich słowa jak pisma Ojców-Założycieli – mieli wrażliwe dusze. Kochali, ileż wylewali łez... Niewinni byli, mężów wychować chcieli, głosili posłannictwo miłości. Mogliby powiedzieć za świętym Pawłem:

Po części bowiem tylko poznajemy,
po części prorokujemy.
Gdy zaś przyjdzie to, co jest doskonałe,
zniknie to, co jest częściowe.
Gdy byłem dzieckiem,
mówiłem jak dziecko,
czułem jak dziecko,
myślałem jak dziecko.
Kiedy zaś stałem się mężem,
wyzbyłem się tego, co dziecięce.
Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno;
wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz.
Teraz poznaję po części,
wtedy zaś poznam tak jak i byłem poznany.

Ale – jeśli cokolwiek wiem o miłości, jeśli choć trochę dane mi było jej doświadczyć – dziwne posłannictwo zawarto w tym hymnie, który draży naszą kulturę od dwu tysięcy lat i spychają ku regionom autoimplikacji. Bo i kto tu mówi? – czy ten, kto w zwierciadle widzi niejasno, czy też ten, kto widzi niejasno w zwierciadle (bo przecież zabroniono formy bezosobowej: co w zwierciadle widać? co zwierciadło widzi?). Nie o miłość chodzi tu zatem, ale o przezwyciężenie czasu, przeskok z czasu ludzkiego do porządku wieczności. To chronologicznie pierwszy i najważniejszy *Portret Doriana Graya*, gdzie Bóg ogląda swoją zżartą cza-

sem twarz. A tym samym nie jest to obietnica, lecz zachęta. Stanać na wysokości zwierciadła znaczy tu: być jak Bóg. Wówczas całość pochłonie część, mąż zabije dziecko, codzienność zjadaczy chleba niezauważenie roztopi się po drugiej stronie lustra. I nastąpi p r z e a n i e l e n i e. I rzeczywistość zostanie zlikwidowana. I duchy zespolą się z nami w tej chwili, a jako że czasu już nie będzie, w każdej chwili.

Lustro to – użycie określenia Foucaulta – fałd czasu i mówienia. Dlatego tylko pozornie mając prawda dwie strony. Ale nasza literatura przeanielać zjadaczy kartofli (bądź pochwalona, Kartoflano...) zapewnia sobie a l i b i. Jest i tu i tam, a to znaczy, że i tu i tam jej nie ma. Nie chce bowiem przyjąć do wiadomości, że druga strona lustra jest tajemnicą Alicji.

I błazna.

Fałd scena

Fałd trzeba rozwinąć w scenę, a nie fałdów przysiadawać. Alicja, fałdy przysiedziawszy, zmienia się w Danuškę, Jagienkę, Oleńkę, Baškę i tłucze orzechy ku ucieście błażna – Zagłoby...

Ironia zdarzeń, ta najprawdziwsza proza świata, powoduje, że tekst, zaczynający się na werandzie p. Mickiewiczów, kończy się w domu Sienkiewiczów. Nazwiska realnie istniejące w opisywanym świecie (ale dlaczego właśnie te?) skłonni jesteśmy odczytywać tu symbolicznie, tą decyzją czytelniczą potwierdzając, że tekstem rządzi inna logika. A ona nie zależy od subiektywnej decyzji interpretatora. Dlatego nie nadużywam jej – akceptując ją, usiłuję obnażyć. Pytam, co mieści się w owym fałdzie czasu i mówienia.

Ostatni z ocalałych zeszytów w szarych okładkach zaczyna się tak: „I znów nieporozumienie rodzinne zmusiło mnie wrócić do tej samej wsi, ale już nie do Radziewiczów, lecz do Sienkiewiczów. Będąc jeszcze w domu rodzinnym wysłałem list do Witka wypominając jego zachowanie. Zazaczyłem w liście, by nigdy nie robił ludziom dobrze, bo za dobre złym płacą. Tak samo jak Twojej rodzinie i Tobie radziłem dobrze za co złym zapłacili, a w ostateczności sam nazwałem mnie «dupą» za to, że zrobiłem Ci ciepło na zimę.

Teraz gdy wróciłem do Pokośnej list ów wpadł w moje ręce i miałem go sam zanieść.

Witold, przeżywszy nieporozumienia rodzinne w rodzinie Witolda, przeżywa nieporozumienia rodzinne w swojej (Witolda) rodzinie. Wysłał zatem list. Witold wysłał list do Witolda. To w porządku realnym – różne osoby. Ale ten opieszale list (*the purloined letter*) zatacza koło i trafia do nadawcy; „list ów wpadł w moje ręce...” Jak gdyby Witold pisząc do Witolda w istocie pisał do siebie. Jak gdyby rozdzielił się na dwie osoby, stworzył lustrzane odbicie, sobowtóra. Toteż nawet nieumiejętność oddania w piśmie mowy zależnej, uchybienie z punktu widzenia zdroworozsądkowej logiki tekstu, traci na znaczeniu, gdy dostrzeżemy, że Witold, zatoczywszy koło, od siebie otrzymuje odpowiedź, list zaś, powołując osoby i maski wyznacza swoim przebiegiem scenę, gdzie dokona się p o k r z e p i e n i e s e r c. Teatralne rozwiązanie konfliktu.

Bo Witold, sam to przyznaje, ku pokrzepieniu serc pisze: „Zacząłem pracować nad sztuką, którą przygotowałem na święta Bożego Narodzenia, by uprzyjemnić te chwile młodzieży i samemu sobie co mi pomogło w tych uczuciach”. Tego wyznania lekceważyć nie warto, choć zostało złożone za pomocą niewprawnych słów. Witold pisze ku pokrzepieniu serc („by uprzyjemnić te chwile młodzieży”), ale i ku pokrzepieniu serca („co mi pomogło w tych uczuciach”). W tym wyznaniu jest cała pisarska samoświadomość; w tym wyznaniu zawiera się pełna dialektyka aktu twórczego. Bo my, którzy umiemy słowa składać, choć nie zawsze wiemy, co w nie włożyć, czyż nie musimy w cichości ducha przyznać, że po to się pisze, aby zasypać drążącą nas pustkę, tę, która m n i e o d s i e b i e oddziela, że pisze się ku pokrze-

pieniu serca, które obija się o dwie strony tej pustki, do bram nieba kołaczę, a śmierci się boi, zarysowuje dystans, wysyła listy do siebie adresowane do innych, powołuje sobowtóra, wypełnia scenę drobnymi rządkiem pisma. Dlatego nigdy się nie zgodzę z takimi ujęciami literatury, które widzą w niej ekspresję swobodnej subiektywności. Pisanie nie jest wyrzucaniem z siebie, eks-presją, bo i co „ja”, raz w otchłań zajrzawszy, mogłoby z siebie prócz lęku wyrzucić? Pisanie jest z w ł o k ą w procesie, choć wyrok dawno został wydany. Pisanie to k o m e d i a – kiedy Franz Kafka czytał *Proces* przyjaciółom, i on, i oni uważali, że rzecz jest nieodparcie śmieszna.

Najnowocześniejszą sztukę świata w III aktach nazywa Witold „komedią”. Nie tu miejsce, by zastanawiać się, dlaczego Boska i Nie-Boska zostały nazwane komediami, nie tu miejsce, by rozważać etymologię słowa *trivius*. Określenie gatunkowe funkcjonuje jako synekdocha i zgodnie z tradycją teatrów ludowych odnosi się do wszelkiej działalności uprawianej na scenie. Ci, którzy zajmują się nią – to komedianci; nawet jeśli doskonale znani z codziennych kontaktów, w tym momencie dziwni, tajemniczy i groźni zarazem, dokonuje się bowiem cud transformacji. Scena to zwierciadło, nie dlatego jednak, że odsyła widowni jej własną niczym nie upiększoną twarz; to, co na niej się dzieje, nie jest reprezentacją, powtórzeniem. W tej tylko pozornie trójwymiarowej przestrzeni przemienia się wszystkie wartości, świat zostanie przenicowany a serce pokrzepione. Nie ma w tym zatem żadnej niekonsekwencji, że Witold, który w liście radził Witoldowi, „by nigdy nie robił ludziom dobrze, bo za dobre złym płacą” (ale list zawrócił do nadawcy, zmylił adres choć nie pomylił adresata i ostatecznie listonoszem został Sienkiewicz: „i miałem go sam zanieść. Jednak nie zrobiłem tego oddając list Tofilowi, który zaniósł we właściwe ręce. Odpowiedzi żadnej nie otrzymałem a Witek zaczął powoli znów się do mnie chylić”), że Witold zatem w „komedii” przedstawia zwycięstwo dobra nad złem.

Inaczej mówiąc: scena nie jest przedłużeniem powszedniej przestrzeni, radykalnie zrywa jej ciągłość, podniesienie kurtyny oznacza wejście w inny świat, gdzie obowiązuje lustrzana zasada: „z ł o d o b r e m z w y c i ę ż a j”. Wiedzieli o tym nie wiedząc mieszkańcy domu umarłych, z którymi podczas świąt Bożego Narodzenia oglądał przedstawienie Dostojewski: „Wszyscy zachowywali się cicho i skromnie. Wszyscy chcieli ukazać się panom i gościom od jak najlepszej strony. We wszystkich twarzach malowało się arcynaiwne oczekiwanie. Wszystkie twarze były czerwone i spotniałe od gorąca i duszności. Jakież osobliwy poblask dziecinnej radości, miłego, czystego zadowolenia lśnił na tych poradlonych, piętnowanych czołach i policzkach, w tych spojrzeniach ludzi, dotychczas zawsze ponurych i posepnych, w tych oczach płonących niekiedy strasznym ogniem! Wszyscy byli bez czapek, i z prawej strony wszystkie głowy wydawały mi się ogolone. Lecz oto na scenie słychać rumor, krzątaninę. Zasłona wnet pójdzie w górę. Orkiestra wnet zagra...”

Tak ich widzę – jest rok 1946 – poradlone twarze, poblask dziecinnej radości, arcynaiwne oczekiwanie, za sceną krząta się pewnie świeżo wyszły z lasu pirotechnik, na scenie dywany (dotychczas w okolicach tka się dwuosnowowe dywany, niegdyś w każdym niemal domu były krosna), Polska poprawia koronę, na widowni smród machorki i garbowanych u suchowolskich Tatarów kozuchów. Ale tak ich widząc oglądających bożonarodzeniową komedijkę – patriotyczny obraz, jasełka – popełniam błąd. Bo to, co działo się na scenie, zostało autorską wolą wzięte w nawias.

„Wtedy to chcąc się okazać przed ludźmi, że jestem coś wart, i jestem nie taki jak mnie Radziejwicz zrobili: durniem, warjatem i jeszcze tam jakim, ułożyłem wiersz Pokośnej pt. „Kochana Pokośna”, który brzmi na początku mojej opowieści tj. życia w Pokośnej. Kto go rozumiał, kiedym deklamował ten wiersz na scenie po skończonej komedii, ocenił ten wiersz i mnie również. Ów wiersz zawiera moje życie w Pokośnej.”

Naród (to nie rusycyzm, to archaizm) śpiewa *Boże coś Polskę*, anioł wnosi obraz Matki Boskiej Częstochowskiej (dlaczego nie Ostrobramskiej?), Polska klęka przed obrazem, „za-

słona powoli zapada i koniec komedji”. A wtedy przed kurtyną pojawia się on i wygłasza wiersz. Wiersz-inwokacja do Pokośnej kończy komedię i otwiera *Pamiętne dni przeszłości*. Między sceną, gdzie pamiętne dni przeszłości zostały odegrane a pamiętnikiem, gdzie „pamiętne dni przeszłości” zostaną zapisane biegnie nieprzerwany wątek pisania. Kończy się *Dziadów* część trzecia, zaczyna czwarta.

Ów wiersz, zamykający narrację Witolda z dwu stron, choć pełniący w niej rolę centralną, bo wyznaczający przejście ze sceny realnej na scenę pisma, nie dotrwał do naszych czasów. Tak samo jak kochana Pokośna – taka, jaką opisywał Witold – i *Kochana Pokośna* już nie istnieje. Ale przecież prawie każdy z nas utracił jakąś mniejszą ojczyznę, *Heimat*. Świadomie czy nieświadomie, z woli losu czy głupoty. I wie, że tylko pisząc, jak ja to robię w tej chwili, może próbować ją odzyskać.

Ojczyzna, matczyzna

Najnowocześniejsza sztuka świata każe myśleć o pamięci wpisanej w formę. Bo choć nominalnie „najnowocześniejsza”, przywołuje niepamiętne archaizmy: tradycje jezuickich szkół, szopki, gdzie w pełgającym świetle świeczek śmierć rażno wywijała kosą, wyrosły wśród białoruskich zaścianków romantyzm. Później, pod koniec XIX wieku takie żywe obrazy inscenizowano na dobroczynnych fetach i akademiach ku czci, aby wielkim i mniejszym aktorkom pozwolić zastygnąć w pozach żywcem wziętych z *Pochodni Nerona* Siemiradzkiego. Ludowa forma została tu podniesiona, nobilitowana: ale ta nobilitacja nastąpiła jedynie po to, aby formę wypełnić patriotycznym pustosłowiem. Wyszło bądź zostało zasypane symboliczne źródło, nastąpiła inwazja alegorii.

Wyzwolenie Wyspiańskiego jest w znacznej mierze parodią tego języka, choć wskazuje też na swe źródło. Na narodowej scenie, gdzie „żupany (...), delije, kontusze (...), lite pasy, krzywce, karabele, chłopskie gunie, sukmany, trzosi. Tłum w kościele!”, na scenie – ”Strójcie mi, strójcie narodową scenę...” – wśród tworzonego na oczach widza wysypiska pustych znaków, które traktowane są jako znaki narodowej tożsamości, pojawia się Konrad. Wszedł z bazylikańskiej celi, gdzie o jego duszę walczyło niebo i piekło, duchy z prawej i duchy z lewej strony, zszedł ze sceny, na której Herod – Senator mordował niewiniątka, bo miał się narodzić ten, któremu na imię Czterdzieści i Cztery, nowy Odkupiciel. Trzecia część *Dziadów* świadomie odwołuje się do ludowego teatru, nawet sylabotoniowane śpiewki diabłów podkreślają tę ludową proveniencję.

Wyzwolenie to „rzecz napisana w roku 1902, dzieje się na scenie teatru krakowskiego”. Za czterdzieści cztery lata na innej scenie, po wyzwoleniu – ileż to razy w ciągu tych kilku lat owe ziemie wyzwalano, ale o tym nie będzie mowy, bo nie historyczna prawda tu się liczy – na scenie „ładnie wytepatowanej i ubranej, gdzie znajdują się kilka obrazów Polskich bohaterów, w tem obraz Matki B. Częstochowskiej jako królową Korony Polskiej, ładnie ubrany” (słusznie, Matka Boska jest największym polskim bohaterem), na scenie, gdzie „stoi tron pięknie ubrany o dwa stopnie wzniesiony i żeby ładniej wyglądał ukleja się gwiazdkami które mają się mienić w świetle lamp kolorowych”, Konrad się w trakcie „komedji” nie pojawi, sama zaś jej forma zostanie zredukowana do wyjściowej postaci: jasełek. Niższe, które stało się wyższym, znów wraca do niższego, pozostawiając patetyczną retorykę alegorycznym Figurom i radiu.

Oto, a jakże, święty Józef – Marszałek (to nieważne, czy Piłsudski, czy Rydz-Śmigły, ta kukielka odwołuje się do dłuższej niż dwudziestoletnia tradycji); Polska w familiarnych – choć to chyba niewłaściwe słowo – stosunkach ze świętym Józefem, bo jej tron stoi w jego gabinecie: oto Anioł zwiastujący Polsce niedobrą nowinę:

„Polsko! Naród Twój jest wybrany z pośród wszystkich narodów świata a synowie Twoi są przy tronie królestwa Bożego. Ale jak ciężko patrzeć Bogu na obecny Twój naród, który zapomniał o obietnicach swoich, złożonych ślubem swej Królowej...”; oto Hitler – rzeźnik niewiniątek; oto wreszcie Szatan, który jak zwykle w jasełkach „odgrywa swą rolę wesolą”: „Dobra droga się szykuje, w Piekło smoła się gotuje”.

(Prawdopodobnie nie była to jedyna śpiewka wykonywana w czasie przedstawienia. W tym samym zeszycie znajdowała się osobna kartka zapisana innym charakterem pisma; oto koniec zanotowanego na niej tekstu:

Z zachodu bostony na dwa seksafony
Ze wschodu katusza orkiestrę zagłusza
A djabeł hitlera do piekła zabiera
Tam z kotła zpygląda jak Berlin wygląda
Ten marat.

Jakim cudem Jean Paul Marat znalazł się w tak dobranym towarzystwie pod białostocką strzechą? Zatem Charlotta Corday nie zabiła go do końca?)

Forma, zredukowana do niższej formy, cofnięta – chciałoby się rzec – do postaci embryonalnej, d o ł o n a m a t k i, inaczej pozwala spojrzeć na mesjanistyczne tęsknoty, których wyrażaniu zazwyczaj, nobiletowana przez patriotyczną retorykę, służyła. Polska Chrystusem narodów? Ejże! Inną funkcję przypisuje jej ludowa symboliczna wyobraźnia. Za Królową Korony Polskiej siedzi na tronie Polska – też w koronie: to dwie Królowe – s o b o w t ó r y. Matki.

„POLSKA: (wstaje i podchodzi do MARSZAŁKA) Radość mego serca nie ma granic. Chcę wszystkich mych synów wprowadzić pod płaszcz mej oto Królowej (wskazuje na Królową Kor. Poi.) by już żadna siła nieprzyjacielska nie targała ich życiem. Marszałku... Idź do narodu w im siła.” To znaczy: idź pod płaszcz Królowej, bo tam jest już cały naród.

Z dawna Polski to królowa. Bogiem sławiona Maryja. Weźmie w opiekę naród cały, by obudził się wspaniały. Okrywa swym płaszczem Częstochowę, osłoni i kraj. Nie mieszam się do wszystkich świętych z litanii, lecz nie dozwolę bluźnić imienia Maryi. Ona – to trzecia osoba Trójcy Świętej.

Dlatego i nasza ojczyzna to m a t c z y z n a. Pierwsza, jedyna i nieosiągalna na wieki, przeto wiecznie pytać będziemy ze wstydem „co to jest polskość?”. Bo skazuje nas na chromy chód, jako że choć nie byliśmy na krzyżu, mamy przebite stopy. Bo przez nią karzemy siebie – jak Edyp – ślepotą. Bo nigdy nie wydoroślejemy. Bo ciągle będziemy zastanawiać się nad imieniem ojca. I tylko spod jej płaszcza, gdzie się chronimy, jak spod spódnic, którymi Anna Brońska przykrywała Oskara, dobiegać będą, niczym apel poległych, coraz to cichsze salwy blaszanego bębenka.

Kiedy o parę lat starszy Witold szukał w portowych knajpach i zaułkach Retiro synczyni, aby ojczyźnie się przeciwstawić, nasz Witold zapisał: „Zaś jej «mamusia» jak potem nazywałem, a to ze względu że jej dzieci W i t e k i Z o s i a nazywali «mamusią» to i ja czując się dzieckiem swej matki nazywałem «mamusią». Ona zaś myślała co innego. Że ja pragnę być doprawdy jej synem przez związek małżeński z Zosią.”

Nasz Witold pragnie – jeśli pragnie – białego małżeństwa. Dlatego już nie odzywa się. Patrzy w lustro. Wyciąga ręce do ognia, jakby chciał ogrzać dłonie. Patrzy w ogień. Nieruchomy Potem powoli rozpina koszulę, ściąga z grzbietu i wrzuca do komina. Spada fajerka, otwierają się drzwiczki i na blachę wypada trochę węgla i polan. Odwiązuje wiarówkę, powoli odpina guziki i ściąga spodnie. Troczki przy kalesonach zasupły się, zrywa je jednym pociągnięciem ręki. Zakrywa dłońmi przyrodzenie i mówi do swojego odbicia w lustrze „jestem”, po chwili krzyczy „jestem gotowy”.

Do kuchni wchodzi przez okno Zosia i niesie świeże truskawki. Witek robi jeden krok w stronę Zosi. Stanął. Jak stanął, tak i stoi, niemo, głucho, nieruchomie jak kamień pośród cmentarza. Zosia robi jeden krok. On za nią wszędzie. „Jestem...” Opuszcza ręce... „...twoim bratem...”

Trzy, cztery

W *Dziadach* – widowisku, dziecię śpiewa znużonemu życiem starcowi pieśń o zaklętym młodzieńcu:

Wyłamawszy zamku bramy,
Twardowski błądził wśród gmachów,
Biegł na wieże, schodził w jamy:
Co tam czarów! co tam strachów!

W jednym sklepisku zapadłem –
Jak dziwny rodzaj pokuty –
Na łańcuchu, przed zwierciadłem
Stoi młodzieniec okuty.

Stoi, a z ludzkiej postaci,
Mocą czarownych omamień,
Coraz jakąś część traci
I powoli wrasta w kamień.

Aż do piersi już był głazem,
A jeszcze mu błyszczą lica
Męstwa i siły wyrazem;
Czułością świeci źrenica.

Zaklęty młodzieniec – Narcyz? Dorian Gray? – żyje w swoim czasie, płynącym według innych praw niż zewnętrzny czas historii. Choć ten istnieje – powoli, niezauważalnie zmienia jego ciało w kamień. Tego pewnie w zwierciadle nie widać. Czy możliwa jest próba wyrwania się z pęt czasu biografii, stłuczenie zwierciadła? Jak możliwe jest pełne wejście w czas historii?

„Młodzieńcze, nigdzie w tym kraju,
Od Niemna po Dniepru krańce,
Nie słyszałem o Poraju
Ani o jego kochance.

„Po co pytać, czasu strata,
Gdy cię wyrwę z tej opoki,

Wszystkie ciekawości świata
Własnymi odwiedziś kroki.

„Znam czarodziejską naukę
Wiem dzielność tego zwierciadła,
Wraz go na drobiazgi stłukę,
By z ciebie ta larwa spadła”.

To mówiąc, nagłym zamachem
Dobyl miecza i przymierza,
Ale młodzieniec z przestachem –
„Stój!” zawołał na rycerza.

„Weźmi zwierciadło ze ściany
I podaj go w moje ręce,
Niech sam skruszę me kajdany
I uczynię koniec męce”.

Wziął i westchnął, twarz mu zbladła
I zalał się łez strumieniem,
I pocałował zwierciadło –
I cały stał się kamieniem.

Nie w *Upiorze*, którym Mickiewicz poprzedził część drugą, ale w zaklętym młodzieńcu z fragmentarycznej części pierwszej wolę widzieć prefigurację Gustawa-Konrada.

Bo zawsze mnie zastanawiało: dlaczego, wbrew autorskiej numeracji, czytamy część czwartą przed trzecią? Dlaczego upieramy się, by w Konradzie widzieć Gustawa z części czwartej a nie widmo z części drugiej? Dlaczego nie chcemy zrozumieć tego p o s z u k i w a n i a s t r a c o n e g o c z a s u, spełnionego proroctwa, retroaktywnej struktury wpisanej w *Dziady*?:

Niedawno odwiedzałem dom nieboszczki matki,
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz – rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła,
Jak na smętarczy w pomoc, milczenie dokoła!

Czas historyczny płynie tu jak zwykł: ku rozpadowi. Wzrasta entropia i chaos. Ale czas uczucia – odzyskany czas symboliczny – zmierza w drugą stronę:

O, inny dawniej bywał przyjazd mój w te bramy:
Po krótkim oddaleniu gdym wracał do mamy,
Już mię dobre życzenia spotkały z daleka,
Życzliwa domu czeladź aż za miastem czeka,
Na rynek siostry, bracia wybiegają mali,
„Gustaw! Gustaw!” wołają, pojazd zatrzymali:
Lecą nazad, gościńca wzięwszy po pierogu;
Mama z błogosławieństwem czeka mię na progu;
Wrzask spółuczniów, przyjaciół, ledwo nie zagłuszy!...

Kto tu przyjechał i kiedy? Gustaw? Konrad? Może pan Tadeusz wjechał dwukonną bryką i obiegłszy dziedziniec zawrócił przed ganek? Może Witold mija majątek Karolin i mówi: „Kiedyś ten dwór musiał pięknie wyglądać – dziś nie jest równy wiejskiej zagrodzie”.

A może ja?

Dwie niezbieżne strugi czasu powodują, że czas płynie niespójnie, zostawia luki do wypełnienia – i nie jest to „romantyczna fragmentaryzacja”... A tak płynąc, tak tworząc wiry, zakola, tak powołując u p a d ł y c z a s, gdzie pachnie tatarakiem i klepsydrą, zarysowuje wzór. Nie jest to jednak wzór „tamtej strony”, gdzie kwiaty i rysunek, n a s z a to strona, jedyna jak na wstędze Möbiusa strona. Choć wzór, dzięki wydeptywaniu tych samych ścieżek, staje się czytelniejszy, zmienia się w gościniec, i tak ktoś wpadnie w te luki, te na gościńcu wyboje. Aby, „gościńca wzięwszy po pierogu”, iść dalej. Czas – Wielki Czas, który ubóstwiliśmy – nie płynie w jedną stronę, o n p ł y n i e p o j e d n e j s t r o n i e.

Nie wiem, po co zamieniać uczuciową prawdę części czwartej na jasełkową wizję historii i pychę *Wielkiej Improwizacji*. Nie wiem, skąd przypuszczenie, że nasz wieszcz nie umiał zliczyć do pięciu. Bo przecież gdyby chciał, aby część trzecią po czwartej czytano, nazwałby ją piątą, bo napisał ją jako trzecią – ale czy to tłumaczy wszystko, że jako trzecia napisana, jest trzecią?

Ale tak nie wiedząc, zarazem wiem: wiem, że łatwiej uznać widmo, które weszło na scenę publiczną, za człowieka, niż choćby w cichości ducha się przyznać, że scena publiczna rodzi upiory. Wiem, że łatwiej zaakceptować czas historyczny niż czas uczucia. Wiem, że łatwiej uznać *Ustęp*, ze sławnymi *Do przyjaciół Moskali*, za wygłos dramatu, niż te słowa:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

Wiem, że łatwiej się rozpoznać – i to jest dopiero prawdziwa h a n b a d o m o w a – w fałszywej, totalnej symbolice jednej chwili („Czym jest me życie? Ach, jedną chwilką!”), niż w otwartym – bo choć gasną świece, nie ścięle się, jak powinien, trup – na nieskończoność czasie. Wiem, że lżejszy do udźwignięcia jest kamień niż puste zwierciadło.

Konrad zgrzeszył, bo chciał zatrzymać czas, przejść na drugą stronę zwierciadła – więc może słuszniej byłoby, zamiast zastanawiać się nad wielkością romantycznego ducha, zapytać o rozmiary grzechu i jakość egzorcyzmów?:

Módl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.
Usta, którymiś wieczny majestat obraził,
Te usta zły duch słowy szkaradnymi skaził;
Słowa głupstwa, najsroższa dla mądrych ust męka,
Oby ci policzone były za pokutę,
Obyś o nich zapomniał –

Wiadomo przecież – rękopisy nie płoną, Konrad odpowiedzieć musi: „już są tam – wykulte”. Choć pewnie jeszcze nie wie, że dłuto kujące słowa ześlizgnęło się, że rozpołowilo marmur. Słowo – wypowiedziane słowo – stało się ciałem i, choć w formie poronnej, przetrwa. Jak fałszywie brzmią dalsze słowa księdza Piotra:

Obyś, grzeszniku, nigdy sam ich nie wyczytał,
Oby cię o znaczenie ich Bóg nie zapytał –
Módl się; myśl twoja w brudne obleczona słowa,

Jak grzeszna, z tronu swego strącona królowa,
Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,
Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem,
Znowu na tron powróci, strój królewski wdzieje
I większym niżli pierwiej blaskiem zajaśnieje.

Bo i co tu mówi ksiądz Piotr? Ano mówi: myśl dobra, tylko słowa złe, bo „brudne”. Zatem ja, ksiądz Piotr, robaczek pokorny i cichy, oczyszczając słowa, a to znaczy wyzbywając się swego „ja”, będą kontynuował tę myśl, żeby większym niż pierwiej blaskiem zajaśniała. I już czyści, już kontynuuje, już wpada w trans – choć skoro swego „ja” się wyzbył, kto przez niego mówi? – już to próchno świeci („Panie! czymże ja jestem przed Twoim obliczem? – Prochem i niczem”), ale musiały odbiec duchy z prawej strony, bo nie widzi, że obok niego, na posadzce, leży żywy trup, wampir.

1 listopada 1823 roku dokonała się nie transfiguracja, lecz r o z b i ó r – a używam tego słowa z całą jego historyczną konotacją – pierwotnej jedności. Czy była to jedność ziemską czy sakralną, trudno dziś powiedzieć, gdy nastąpił podział na słowo, które odtąd będzie chciało stać się ciałem i zacznie nawoływać do czynu, i na ciało – na żywego trupa – które płodzić będzie w nadmiarze słowa, póki unicki ksiądz nie zawoła „synu!”. Zbyt pośpiesznie ktoś pocałował zwierciadło, zostało lustro i kamień. W lustrze zawsze ktoś zapragnie się przeglądać, kamień niekiedy ktoś zechce ożywić.

Jest to podział na dwa. Na duszę i ciało i wszystkie opozycyjne pary pojęć, które z tego rozbioru wynikają. A tym samym i zapomnienie, że cała nasza kultura – przynajmniej do Rewolucji Francuskiej – taktowała na trzy. Kiedy w sferę Ducha wprowadza się podział na dwa, kiedy rozbiera się sferę Ducha, otwiera się czas niepamięci. To zapomnienie nie jest wszakże zwykłym zapomnieniem. Bo to, co zapomniano, wcale nie przestało istnieć, ono istnieje Zewnątrz, w zewnętrznosci dalszej niż wszelka zewnętrznosc będąca bliźniaczym tworem subiektywności, ono – postrzegane przez nas jako puste miejsce, brak – z Zewnątrz określa nasze doświadczenie w e w n ę t r z n e, będące doświadczeniem świata bez Boga. Heidegger: „Brak Boga oznacza, że żaden Bóg nie skupia już na sobie ludzi i rzeczy w sposób oczywisty i jednoznaczny i że nie składa już, takim skupianiem, dziejów świata pozwalając w nich przebywać ludziom. Wszelako brakiem Boga daje o sobie znać coś gorszego jeszcze. Nie tylko zbiegli bogowie i zbiegł Bóg, lecz w dziejach świata wygasł blask boskości. Czas Nocy Świata jest marnym czasem, gdyż marnieje coraz bardziej. Zmarniał aż tak, że nie potrafi już rozpoznać, iż brak Boga jest właśnie brakiem.”

W bazylikańskiej celi blask boskości jeszcze nie wygasł. „Wszyscy pisarze, którzy uczynili wzmiankę o prześladowaniu ówczesnym Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego”, czytamy w odautorskim wstępie. Musiało być coś mistycznego i tajemniczego tam, gdzie ważyły się i ziemia i niebo, gdzie dokonały się rytualne rozbiory, aby te realne zniweczyć. Wbrew nekrologowi na ścianie celi Gustaw nie umarł. Gustaw-Konrad, zmierzając ku t r z e c i e m u m i e j s c u, ku Zewnątrz, w lustrzany świat – mimo że jeszcze nie wiedział, domyślał się tylko prawdy, którą później wypowie za niego Nietzsche – rozmnożył się. Choć został wędrowcem, będzie odtąd szedł za nim jego cień. Samowolna elekcja – szturm na sferę ducha, gdzie, jak przypuszczał, miejsce stoi puste, by lepiej tam rządzić, niż Bóg rządzi (przecież On nie krzyknął: *liberum veto*) – zakończyła się rozpadem na dwa.

Odtąd żyjemy w przestrzeni dyferencjacji. Na jałowej ziemi Ulro. I niekiedy odnajdujemy siebie w słowach Miłozza: „Kiedy mój anioł stróż (który przebywa w uwewnętrznosci zewnątrznej przestrzeni) odnosi zwycięstwo, ziemia wydaje mi się tak piękna, że żyję w ekstazie i o nic się nie martwię, bo otoczony jestem boską opieką, zdrowie moje dobre, czuję w sobie prąd wielkiego rytmu, w snach ukazują się magicznie-barwne krajobrazy, nie myślę o

śmierci, bo czy nastąpi ona za miesiąc, czy za pięć lat, spełni tylko, co zasądził dla mnie Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba, nie Bóg filozofów. Kiedy zwycięża diabeł, z obrzydzeniem patrzę na kwitnące drzewa, które co wiosny powtarzają mechanicznie to, co im nakazało prawo naturalnej selekcji gatunków, morze kojarzy mi się z pobożowiskiem monstrualnych skorupiaków gdzieś sprzed lat miliarda, przypadkowość i bezsens mego jednostkowego istnienia przygnębiają mnie, jestem wyłączony z rytmu świata, który pędzi zostawiając mnie, szczątek, na boku, no i straszno, bo życie przeżyłem, nie dostanę innego, a śmierć tuż.”

Dlatego Konrad nie chce zejść ze sceny. Schodzi Gustaw.

Ten też trafi na swego księdza. Żeby symetria była pełna, księży również musi być dwóch. I tak samo jak tamten, romantyczny wizjoner, nie rozumiał, co ożywia zabójcze słowa, tak ten, czciciel materii i Newtona, kolejne wcielenie Jowisza Litewskiego z salonu państwa Becu, nie dostrzega, co porusza żywym ciałem. Jeden egzorcyzmuje diabła, drugi zakazuje dziadów.

Tylko nic pisma, cieńsza niż powierzchnia zwierciadła, ceruje przenicowane światy.

Niść, cień

W stanach maksymalnego wycieńczenia organizmu – przez wódkę, napięcie psychiczne, nieszczęście – pojawia się niekiedy dojmujące fizyczne wrażenie obecności k o g o ś t r z e c i e g o. W przypisie do *Ziemi Jałowej* Eliot stwierdza tak: „Poniższe wiersze powstały pod wpływem sprawozdania jednej z polarnych ekspedycji (zapomniałem której, zdaje się, Shackletona): wspomniano tam, że grupa podróżników, będąc u kresu sił, miała ciągle złudzenie, iż jest o jednego członka wyprawy więcej.”

A oto te wiersze:

Kto jest ten trzeci, kto zawsze wędruje przy tobie?
Kiedy liczę, jesteśmy tylko ja i ty,
Ale kiedy popatrzę tam, na białą drogę,
Jest jeszcze zawsze ktoś, kto idzie przy tobie,
Owinięty w brązowy płaszcz, w kapturze,
Nie wiem, mężczyzna, czy może kobieta
– Kim jest ten, który idzie tam, gdzie ja i ty?

Kiedy wybierzemy się – pytam serio – do Emaus?

Mamusia, mimesis

Skończyła się *Dziadów* część trzecia, zaczyna czwarta. Z patriotycznej sceny, pokrytej dywanami, oblepionej cynfolią, usłanej widłakami i rutą schodzimy w *Pamiętne dni przeszłości*. Trudno o trafniejszy tytuł: z perspektywy wiadomego finału – *il n'y a pas d'amour heureux* – otwiera się przestrzeń wspomnienia, wytyczona przez sentymentalną pamięć i serce.

„Na słowa ludzkie o tej rodzinie zadrza serce nerwowo ale znów się uspokaja. Przypuszczam, że ten wulkan wygaśnie zupełnie, a kratery zbiegiem czasu zrównają się z powierzchnią – nie ziemi, lecz serca.” To ostatnie słowa tej opowieści o miłości: potem jest jeszcze tylko niewysłany list, choć zaadresowany do niej, pisany do siebie: „Teraz dla pamięci m o j e j tego burzliwego życia postawię T o b i e Zosiu kilka m y c h pytań...” Bo i do kogoż miałby Witold ten list wysyłać? Miłosna korespondencja, gdy dusza zlewa się z duszą, skończyła się. List swoim obiegiem wyznaczył obszar adresata, a teraz wraca do centrum, którego już nie ma. Zostaje sam list – jedyna racja istnienia poczty. P o s t – modernizm.

Mimo że jest to opowieść o miłości, nie ma powodu, by Witoldowi nie wierzyć, gdy w niejednym miejscu pisze, że Zosi nie kochał. Przeciwnie, w tym można dopatrywać się prawdziwości jego opowieści. On ją kocha i nie kocha, raz kocha, raz nie kocha, kocha i nienawidzi zarazem, nienawidzi i jest mu obojętna, pogardza nią i zazdrości. Zazdrości i jest zazdrosny. Rozpacza, kocha. Huśtawka uczuć, którą stara się uporządkować chronologicznie, żeby zrozumieć, co się stało, przedstawić sobie w kategoriach „wcześniej” i „później”, ta rozbujana w pamięci huśtawka wyznacza pole gry. Witold jest tylko jednym z jej aktorów, a nie jej reżyserem. Nie on wyznacza jej reguły, ani – jak w rozpaczach zaczyna podejrzewać – Zosia; tą grą włada pragnienie. A jest to p r a g n i e n i e t r ó j k ą t n e. Tym nasz Witold przypomina innego Witolda, choć tamten był zawsze świadom rządzących grą reguł, toteż mediatora wypychał na środek sceny. Dlatego nigdy nie zaryzykował.

Pojęcie to wprowadził Reno Girard w książce *Kłamstwo romantyczne i prawda romanów*: określa ono „pragnienie według K o g o ś I n n e g o”, stojące „w sprzeczności z pragnieniem w e d ł u g S i e b i e, którego doznawaniem chełpi się większość z nas”. Taka na przykład pani Bovary: „Emma Bovary odczuwa pragnienia za pośrednictwem romantycznych bohaterów, których losami wypełniona jest jej wyobraźnia. Mierne utwory, które pochłaniała w latach młodości, zniszczyły w niej wszelką spontaniczność. U Jules de Gaultiera szukać należy definicji b o w a r y z m u, odnajdywanego przez autora u prawie wszystkich postaci Flauberta: «Taka sama niewiedza, taka sama niestałość, taka sama nieobecność własnych reakcji zdają się – w wyniku braku autosugestii pochodzącej z wewnątrz – przeznaczać ich do półszeptwa wobec sugestii wychodzących ze środowiska zewnętrznego Gaultier

zauważa jeszcze w swoim słynnym eseju, że aby osiągnąć swój cel, który polega na «widzeniu siebie innymi niż są w rzeczywistości bohaterowie Flauberta stawiają przed sobą «wzór» i «z postaci, którą postanowili być, naśladowają wszystko to, co mogą naśladować, całą zewnętrżność, wygląd, gest, intonację głosu, ubranie»”.

Ta sytuacja zdarza się wówczas, gdy niknie naturalny związek między prozą świata a przedstawieniem i słowa wycofują swój udział pomiędzy rzeczy. Historia indywidualna – jedyna historia, bo cóż, póki nie dopali się druga świeca, mam więcej? – przybiera formę literatury. Poszukiwacz tożsamości, który tego rozpadu nie dostrzegł, sądzi, że cały czas obraca się w rozległym horyzoncie Tego Samego, że pragnie według Siebie; w istocie jednak jego pragnienie jest mediatyzowane przez to, co Inne. Kocha i pragnie naśladować cudze gesty i słowa, które tymczasem utraciły moc wiążącą. Póki romantyczny styl zachowania uważany był za powszechnie obowiązujący, literatura nie przedstawiała błędnych rycerzy gestu. Póki romans rycerski odbierany był za wyidealizowaną co prawda, ale rzeczywistość, nie mógł pojawić się rycerz Smutnego Oblicza. Bo to on, przemyślny szlachcic z La Manczy, jest patronem tych, których zwiodła Literatura. Cytuję dalej Girarda: „Powie ktoś, że Amadis jest postacią fikcyjną. Niewątpliwie, lecz to nie Don Kichote jest autorem tej fikcji. Mediator jest urojeniem, mediacja urojeniem nie jest. Poza pragnieniami bohatera istnieje również sugestia kogoś trzeciego, twórcy Amadisa, autora opowieści rycerskich. Dzieło Cervantesa jest długą refleksją nad zgubnymi wpływami, które wywierać mogą na siebie najzdrowsze umysły. Pominąwszy jego manię rycerską, Don Kichote podchodzi do wszystkich spraw z dużą dozą rozsądku. Jego ulubieni pisarze również nie są wariatami: nie traktują poważnie swoich fikcji. Złudzenie jest owocem dziwnego związku między dwoma światłymi umysłami.”

Don Kichot naśladowuje. Prowadzi go – owinięta w brązowy płaszcz, w kapturze – Jej Wysockość Mimesis. Ale w którymś momencie naśladowanie, naśladowanie, wędrówka po śladach gubi trop, przestaje być podążaniem za kimś. *Imitatio* zmienia się w *simulo*, bo już kiedy bóg przed tobą się pojawił i za chwilę wyłoni się simulacrum – upiór, mara, ten trzeci, zawsze ktoś, kto idzie przy tobie. Pragnienie nie zmierza już bezpośrednio ku swemu obiektowi, odbija się od pośrednika i dopiero wówczas zostaje skierowane we właściwą bądź urojoną stronę. Złudzenie jest owocem dziwnego związku między dwoma światłymi umysłami. Kiedy tak wyżej zwane światłe umysły zabierają się za kochanie, miłość przeobraża się w serię rykoszetów.

Witold wychował się na romansowych lekturach, sam przyznaje, że „w myślach jego śniły się królowy”. Ale nic w nim nie ma z bowaryzmu, nie drapuje się w romantyczne szaty, a wychodzących karmić kury Zoś i Maryś nie odziewa w powłóczyste jedwabie. Wielka miłość wielką miłością, o tym można pomarzyć sobie przed zaśnięciem, tymczasem brać trzeba co Bóg i Zosie dają. Taki też jest początek jego romansu z Zosią: „Czasem okrywałem się wstydem myśląc, że następnym razem [rodzice] zrobią mi wymówkę za takie długie siedzenie. Ale nigdy tak nie było, więc więcej do tego życia się przyzwyczaiłem, stałem się bezwstydny. Miłość fizyczna przeistaczała się w coraz to inne formy. Jednak nie byłem zadowolony, bo duchowo jej nie kochałem, a ceniałem tylko miłość serca i duszy.” Cóż z tego, że „jej miłość wzbijała się na najwyższe szczyty gór”, cóż z tego, że rodzina okazywała więcej niż przychyłność – jego serce jest „martwe”. Zosia istnieje tylko w sferze doznań fizycznych, tylko „miłość fizyczna przeistacza się w coraz to nowe formy”. Jeśli nawet ciało zatrzymuje ciało, duchowo to szyba.

Szyba stanie się lustrem wówczas, gdy pojawi się za nią ciemność. Cień. Będzie wtedy wieczór i noc ducha, będą świeciły gwiazdy jak to tylko gwiazdy potrafią. W niebo ktoś rzucał kałamarzem – jest czarne. „Pewnego razu przyszedł Bolek wieczorem gdy siedzieliśmy pod mieszkaniem. Siedzieliśmy bardzo długo aż wszyscy poszli spać; tylko my we trójkę pozostali, wyczułem jego myśli. Myślał: «Tobie jest do syta tej miłości, odstęp mi na dziś». Pomyślałem, że kiedyś mnie z ją zostawiał, a teraz trzeba żebym ja mu odstąpił miejsca.”

Póki co, to tylko transakcja między przyjaciółmi, dlatego powiada, że „zazdrości nie czułem ani odrobinę”. Choć już imituje zazdrość: „zaczęłam niby to się gniewać”. A niewiele potem zastaje Zosię z innym mężczyzną: „Wiedziałem co on ma jej powiedzieć: to co każdy mężczyzna”. I wówczas, kiedy pojawia się rywal, budzi się w Witoldzie i n s t y n k t m i m e t y c z n y: „Zaznaczę, że mi się nie podobało takie zachowanie, kiedy chciała należeć do mnie więc powinna zachować się należycie.” Zazdrość jest pierwszym krokiem do miłości: tak zaczyna działać pragnienie trójkątne.

Witold o tym nie wie, zatem powiedzieć mu nie wystarczy. Trzeba mu pokazać, jak należy kochać Zosię, aby jego pragnienie zostało zapośredniczone. Ale w tej dialektyce uczuć *Aufhebung* nie zmieni się w *Aufklärung* – prędzej wstąpi w ciemność, gdzie gubią się tropy.

„Przyszedł Bolek w odwiedziny do mnie a mi głowa pęka. Kazał by mi chustkę moczyli w spirytusie i przykładali. Zabrała się Zosia do dzieła i mokrą chustkę położyła mi na czole, trzymając wciąż rękę na mojej głowie. Ulżyło mi to i prosiłem o zmianę kompresu, zmieniała co chwilę, a rękę zawsze trzymała na czole. Z wieczora siedzieli wszyscy, a potem poszli stare do spania zostawiając nas we trójkę. Spirytus pomógł. Zaczęłam zasypiać. Wkręcili lampę czy sama zgasła. Zosia wciąż była przy mnie, czułem jej rękę na swym czole. Wreszcie słyszę lekkie drganie Zosi, które co pewien czas się powtarza i silniejsze. Wreszcie opada całym ciężarem na mnie. W t e j c h w i l i gdyby był człowiek z żelaza toby może nic nie odczuwał, ale żyjący to musiał być poddenerwowany. Bolek gdyby wiedział, że j u ż naprawdę kocham Zosię, toby tego nie robił, bo jak widziałem bardzo mnie lubiał; mawiając często: «Tylko ciebie mam jednego kolegę, z którym zawsze mogę wyruszyć». Sympatję do siebie czuliśmy zawsze.”

Witold j u ż kocha Zosię. W t e j c h w i l i, gdy jego przyjaciel – sobowtór i rywal, z którym rozprawia się o honorze i wielkim uczuciu, dzieli się kobietą jak opłatkiem i wspólnie ogląda medyczne książki – uprawia miłość z Zosią obok niego. Zosia cały czas trzyma rękę na jego czole. Pragnienie zostaje zmediatyzowane: skierowane ku przyjacielowi, odbija się odeń i rykoszetem godzi w Zosię. Zosia opada całym ciężarem na niego. I oto przyjaciel kocha się na przyjacielu. Między nimi, cieńsza niż kartka, zredukowana do znaku w jego funkcji komunikacyjnej, Zosia. Lévi-Strauss ucieszyłby się: to, co pisał o miejscu kobiety w społecznościach pierwotnych, na białostockiej wsi przybrało formę dosłowną, choć niedorzeczną: „Globalny stosunek wymiany, który ustanawia małżeństwo, nie zachodzi między mężczyzną a kobietą, lecz między dwiema grupami mężczyzn; kobieta występuje tam jako jeden z przedmiotów wymiany, a nie jako jeden z partnerów, między którymi dokonuje się wymiana.”

Scena ma posmak fantazmatu: gorączka, ból głowy, skwiercząca lampa, opary spirytusu, ręka Zosi na czole. „Stare poszli do spania zostawiając nas we trójkę.” Mamusia pewnie śni o Franku, bo „jest najśliczniejszy ze wszystkich jakie kiedy widziała”. To też niepokoi Witolda. Z jakąż rozkoszą opisywał te litry wódki, najlepsze miejsce przy stole, czystą bieliznę, osobny ręcznik, to wreszcie, że Witek z Antkiem spali w stodole, a mnie puszczano do domu”. Toteż traktował ją jak matkę, a nie przyszłą teściową. „Cóż miałem robić? Za ich dobre odnośnienie się musiałem płacić dobrem i grzecznością”. Ale przecież t e g o s a m e g o d n i a zdał sobie sprawę, że „zaczęto mnie strącać z wyżyn na jakie mnie sami wynieśli”.

Pojawił się bowiem rywal – Franek – aby uświadomić mu, że tylko wówczas „mamusia” stanie się mamusią, gdy zawrze z nią transakcję, a Zosia zamieni się w znak płatniczy tej operacji. Znowu pragnienie zostało zmediatyzowane: skierowane ku mamusi, odbiło się od niej – pewnie teraz chrapie, przewraca się na drugi bok i widzi we śnie zarobione na bimbrze pieniądze, za które kupi swojej córce męża – i rykoszetem ugodziło w Zosię. Mamusia jeszcze nie wie, że już kupiła, a transakcja dokonała się w sferze symbolicznej: Witold już kocha Zosię.

„Wyłonienie się myślenia symbolicznego – pisze Levi-Strauss – musiało sprawić, by kobiety, jak słowa, stały się rzeczami podlegającymi wymianie. Było to bowiem w tym nowym przypadku jedynym sposobem przewycięzania sprzeczności, która powoduje, że ta sama kobieta jest postrzegana pod dwoma nie dającymi się pogodzić aspektami: z jednej strony jako przedmiot własnego pożądania, a więc jako pobudzająca instynkty seksualne i instynkt zawłaszczania, z drugiej zaś – jako podmiot, ujmowany jako taki, a pożądany przez innego i stanowiący przeto środek związania go przez spowinowacenie go ze sobą.”

Tej nocy, przy zgaszonej naftowej lampie, dokonały się nie mistyczne zaślubiny, ale c i a ł o s t a ł o s i ę s ł o w e m: w trzecim – symbolicznym – świecie pojawił się znak. Zosia, jako forma znacząca, stała się przedmiotem wymiany i komunikacji. A tym samym poprzez swój obieg zarysowała zakaz. Jest to zakaz podwójny: z jednej strony dotyczy homoseksualizmu, z drugiej – kazirodztwa. Znaczeniem tego znaku jest zakaz, a ona jest formą zakazu, na którym to niewypowiedzianym zakazie – uniku? – opiera się cała nasza kultura.

Między matczyzną a bractwem wampirów, gdzie rządzi zasada „b r a t e r s t w o a l b o ś m i e r ć” istnieje szeroka jak ocean przestrzeń, gdzie winna panować zasada rzeczywistości. A mimo to czasem, gdy dwa transatlantyki mijają się na środku oceanu, następuje katastrofa.

Trąd, syfilis

Zosia, choć znak, jest niema. Nic nie mówi, a nawet kiedy mówi, Witold na jej słowa nie zwraca uwagi. Gdy wyznaje mu miłość, nie wie, co ma mówić, co odpowiadać. On wielkiej miłości potrzebuje, to prawda. Ale może najchętniej pokochałby wielką miłość, pokochałby siebie kochającego. I będzie to robił, rozpamiętując pamiętne dni przeszłości, przeglądając się w sobie jak w lustrze.

Zosia, choć znak, ma ciało. Ciało nie jest nieme. Może wypowiadać się za pomocą symptomów. „Zaobserwowaliśmy że p. Zosia jest nie zdrową – wykazały nam to objawy jej ciała na które nikt by nie spostrzegł najmniejszej uwagi, gdyby w tym czasie nie przeglądali książek leczniczych i tytuły chorób zakaźnych. Bolek nie miał sam śmiałości powiedzieć Zosi, więc należało mnie się zapytać czy jest zdrową. Ja byłem w tak bliskich stosunkach więc miałem tę odwagę jej się zapytać.”

Zosia, choć niema, ma ciało. Może co najwyżej odpowiadać. „Gdy zapytałem odpowiedziała że to jest niemożliwością i że zupełnie czuje się zdrową.” Ale to ciało już wcześniej musiało komuś odpowiadać. Choć nikt – ani wówczas, ani teraz – nie dostrzegł, że te odpowiedzi w istocie były wołaniem o emancypację. Bo Zosia nie chce być znakiem.

Wierzę Witoldowi, gdy mówi: „Ale gdyby znów przyrzekła zostać moją i mnie nie zdradzać, wtedy uciekałby od jej pędzony siłą prądu by jej już więcej nie oglądać”. I wierzę Zosi, gdy odpowiada: „Ty mnie rzuciłeś”. Wierzę im obojgu i wiem, że się kochali. Ale to ona – znak – złapała syfa, o co zresztą w tamtym czasie było zdecydowanie łatwiej niż o męża. Ale to on mówi, szlachetny i czysty: „Nam mężczyznom jest co innego, a wam przynosi miłość cielesna wstyd i hańbę, czego powinniście się wystrzegać”. A potem, choć krew się w nim burzy, odchodzi „zostawiając Zosię na pastwę losu bez żadnego wspomnienia”. Niestety ich dwojga stało się to, że jedyną chorobą, na jaką godziło się zachorować kobiecie w polskiej literaturze, był symboliczny trąd.

W ostatnich słowach swego listu Witold pyta: „Co za przyczyna, że nie mogłem Cię zapylić, gdy już tego pragnąłem w ostatnich dniach raczej miesiącach mego pobytu w Twym domu, starając się pomóc me krzywdy?” Witoldzie, nie mogłeś jej zapylić, bo przecież traktowałeś ją jak znak, a ten nie został ci dany. To raczej znaki zapylają, podlegają rozplenieniu, *dissemination*. Tak zaczyna się pisanie.

Gdzieś tam Hela tuli do łona rozkwitłe piwonie, Werci usycha pierś, doktorowa Kowalska wychodzi odetchnąć świeżym powietrzem do kowieńskiej doliny, Maryla zażywa laudanium, a Stefcia Rudecka kręci przecząco głową. Gaśnie druga świeca.

lipiec 1998